Nr. 29. Warszawa, dnia 8 (21) Lipca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Administracya PRAWDY od dnia 8 lipca mieści się przy ulicy Sadowej nr. 14.



Burza w Chinach.

Na „rozbestwione tłuszcze," walczące obecnie między Tientsinem a Pekinem, można patrzeć albo okiem Europejczyka z gatunku reporter kuryorkowy w dziale politycznym, albo też nie zamglonem przez europeizm i reporterstwo, pogodnem, spokojnem a śmiało i w ludzi i wypadki zagłębiającem się okiem człowieka, dla którego Terencyuszowe stanowisko *Homo sum* lepszem zawsze będzie, rzetelniejszem i niezawodniejszem od podawanego przez cywilizacyę, kulturę czy kulturową chełpliwość. Z humanitarnego stanowiska obecne wypadki w Chinach przedstawiają się jako działanie instynktu zachowawczego, obronnego, odpierającego siły i żywioły obce, tak samo, jak organizm, zdrowy jeszcze, nie rakowaty, usiłuje wyrzucić z siebie każde obce ciało, objętością i wagą nie przechodzące miary, do jakiej sięgnąć zdoła sprawność jego organów. Na tym instynkcie opiera się życie narodów, tak dobrze europejskich jak azyatyckich, jak afrykańskich, i wszelkich, o ile są narodami, a nie kupami; bo człowiek zorganizowany wszędzie jednakowym ulega prawom, wszędzie tak samo i samym sobą i naturą swoją żyje. Ludzie światli w Europie, z gatunków wyższych nad dopiero co wskazany, nie mogą w czynach i wypadkach chińskich nie widzieć wojny narodowej; a jeśli jej jeszcze nie dostrzegła dyplomacya europejska i zabawia się wciąż w bokserstwo, jako wrzód czy trąd społeczeństwa chińskiego, to ciężko błądzi i ciężko też za błąd swój odpowie.

Zdaje się jednak, że i w wyższych przynajmniej kręgach dyplomacyi, jawnem oburzeniem dorównywających zdawkowemu — jakby tu powiedzieć? — ogólnie-europejskiemu patryotyzmowi, potajemnie już kiełkuje przeświadczenie, że bokserzy są to Chińczycy broniący Chin, a ich ruchy, ze wszystkiem co już objęły, zniszczyły, zgładziły i jeszcze zgładzą— mają w sobie wszystkie pierwiastki niezbędne do wojny narodowej. Dziś jeszcze Południe nietknięte, zaledwie oparami owiane. ale jutro już może pójdzie za przykładem Północy, a w każdym razie na całem olbrzymiem pomorzu wywoła objawy cechowane przez poważnych nawet publicystów stemplem barbarzyństwa. Rzeczywiście, jeżeli na czyny spełnione patrzeć zechcemy jako na wyroby kultury chińskiej, nieosobliwie one o kulturze tej zaświadczą; ale bo też obrona życia nigdzie i nigdy nie była popisem uobyczajenia, grzeczności i delikatności, nie może więc nim być i teraz w Chinach. A jest tu jeszcze wzgląd jeden: niemoc rządu chińskiego, nawet w akcie urzędowym, wysoce dyplomatycznym, w okólniku sekretarza stanu Unii amerykańskiej z d. 3 b. m. ochrzczona nazwą anarchii. Niewątpliwe już dzisiaj zamordowanie posła niemieckiego, Kettelera, d. 18 czerwca, w ten sam dzień, kiedy wojsko europejskie zdobywało forty w Taku, rząd sprężysty byłby od Chin odwrócił wraz z ciężkimi jego skutkami, a rząd przytem patryotyczny, odwróciwszy, samą wojnę poprowadziłby dzielniej, skuteczniej, niż stowarzyszenie choćby najbardziej rozpostarte, z którego łona wyszli zabójcy przedstawiciela Niemiec a sługi cesarza Wilhelma, jak go sam cesarz nazwał d. 2 b. m. w Wilhelmshafen.

Położenie Chin pogorszyć by się tylko mogło wraz z wymordowaniem reszty posłów europejskich w Pekinie, podawanem już za fakt niewątpliwy, d. 6 b. m. spełniony, przez *Central News*, przez doniesienia z Czyfu i Szangaju. Już nietylko sam jeden cesarz Wilhelm, ale wszyscy, jak są, monarchowie, a za monarchami i Rzeczpospolita francuska, przyrzec by musieli i sobie i światu, że pomszczą krzywdę, zatkną sztandary na murach Pekinu i ze stolicy Chin podyktują warunki pokoju. Psychologia ludów europejskich nie pozwoliłaby rządom na pozostawienie czynu bez kary, a krzywdy bez korzyści. Czyn działałby musiał samym swoim ogromem i niewątpliwie z działania byłby skutek — wojna z Chinami. Bezpłodnem mogłoby to prawowite uczucie krzywdy okazać się tylko w razie niemożności porozumienia się Europy na gruncie chińskim. Skargi z tego tonu dochodzące od samego Seymoura, dowódzcy w Tien-tsinie, powinnyby zatrwożyć ludzi, którzy nareszcie z po za rozbijających bokserów dostrzegają już walczących o niepodległość swą Chińczyków, a stojąc na straży interesów europejskich, chcieliby się jaknajprędzej, najtaniej i najłatwiej nasycić. W niezgodzie Europy znajdą Chiny sprzymierzeńca. Operowanie pod chloroformem bez wojny już się teraz nie uda; teorya jakiegoś stanu bezwojennego wśród samych walk wojennych, jest lichym wyrobem umysłowym. Wojna może dać rozbiór szybszy, prędzej postawić u celu — pod jednym wszakże warunkiem: że będzie i że się szczęśliwie zakończy.

Kanclerz Bülow d. 11 b. m. rozesłał okólnik, opowiadający dzieje zawieruchy chińskiej jeszcze od przeszłego roku. Do-

wiadujemy się z tego dokumentu, że już w roku zeszłym Niemcy ucierać się musieli w swojem Kiao-czau ze zbrojnemi stowarzyszeniami patryotycznemi Chińczyków. Szerzyły się one po Szan-tungu, nie wyrządziły jednak wielkiej krzywdy kolonizatorom i kolonistom niemieckim. W styczniu zażądali posłowie europejscy rozwiązania dwóch szczególniej, z listy kilkudziesięciu związków narodowych, mianowicie: Czerwonego Noża i Wielkiego Kułaka, czyli „Ludzi wymierzających ciosy pięścią miłości ojczyzny“ — Cung-Li-Jamen wyjednał edykt tylko przeciw nożowi, kułaka nie tknął. Dyplomaci ponowili starania; zanim te odniosły skutek, już kułak (w maju) zaświadczył o sobie, że jest i że się rozwiązać nie da. Obecnie niema już chyba takiego dyplomaty, któryby „akcyę“ swoją w tym kierunku chciał poprowadzić. Zostaje tylko wojna, ale ta już spacerem, jak w latach 1859—61, nie będzie. Pragnąć tylko powinna Europa, aby tę wojnę Chińczycy ze swej strony na zdobyciu Pekinu przez Europejczyków zakończyli; przy długoletnich walkach Europa musiałaby się przenieść do Azyi i zaniedbałaby własne swe gospodarstwo. W każdym razie wypadki nad Oceanem, który jeszcze raz sprzeniewierza się swej nazwie Spokojnego, nie cofają sprawy, ale przeciwnie, naprzód ją posuwają: rozbiór Chin północnych się zbliża.

Tydzień polityczny. Chiny pochłaniają uwagę świata: na nic się teraz nie patrzy, tylko na wypadki chińskie. Są one bardzo poważne, ogromne. Napad na poselstwa europejskie w Pekinie, zburzenie gmachów w osobnej dzielnicy przed samym pałacem cesarskim, zbicie się przedstawicieli mocarstw, rozporządzających 10 milionami żołnierzy, w gromadę istot bezsilnych, strwożonych, rozpaczliwie opędzających się czerwonemu już od krwi nożowi chińskiemu; walka kilkodniowa z tłumem zbrojnym, roznamiętnionym trwogą o życie polityczne, a nieszczęśnie narzucającym się narodowi całemu na przewodnika i obrońcę; zdobycie ostatniego schroniska Europejczyków w poselstwie angielskiem; wymordowanie, jeśli nie samych posłów i nie wszystkich, to niewątpliwie urzędników poselskich i obywateli urokiem potęgi europejskiej osłanianych — wszystko to ma w sobie nietylko powagę dziejową, ale i ogrom zjawiskowy i jeśli porusza i wstrząsa uczucie rasowej i narodowej łączności z ofiarami, pobudza także i wyobraźnię do obrazów i widzeń potężnego, już na granicy twórczości stającego tragizmu. Tej twórczości właśnie, o ile się na nią puszcza telegraf i dziennik, obawiać się potrzeba, aby przez łatwowierność nie paść jej ofiarą. Skłonne do barwienia, a używające szychu, w braku złota, dziennikarstwo barwi i wydyma prawdę rzeczywistości—i człowiek przezorny a czuły na fałsz musi się mu nieraz opędzać prawie tak samo, jak opędzali się Eurowejczycy Wielkiemu Kułakowi w dniu wielkiego dla siebie i dla Europy, i dla Chin nieszczęścia.

Tym razem wszakże telegramy d. 17 b. m. do Warszawy nadeszłe nie wyskakują z zaułka na dobrą wiarę czytelnika. Opowiadania angielskie mają na sobie i w sobie znamiona prawdy. D. 6 b. m. po wielu dniach walki działowej, po stoczeniu bitwy przez wojsko regularne stronnictwa rozwagi pod generałem księciem Czyngiem, z wojskiem regularnem i pospólstwem stronnictwa zaślepienia pod księciem Tuanem, wielkie działa zburzyły poselstwo angielskie, a gdy w nocy wyczerpali Europejczycy amunicyę, nad ranem d. 7 b.m. wpadli Chińczycy i zrobili rzeź. Telegraf dodaje, że przy rozległości obszaru zajętego przez poselstwo prawdopodobnem jest ukrycie się pewnej liczby ofiar przed rozszalałym tłumem. Z prawdopodobieństwa tego łatwo jest wysnuć domniemanie, że z kryjówek skorzystali przedewszystkiem posłowie: i waga ich była największą i życie najdroższe. Może doniesienia żadnej już niezostawiające wątpliwości domysł taki potwierdzą; jeżeli nie, wypadek, rzadki w dziejach, będzie miał wymowę straszliwą — wieszcza i sędziego: w narodach europejskich rozpali pomstę, na dyplomacyę europejską wyda wyrok. Istotnie, jeżeli po pierwszem zamordowaniu, po czynie spełnionym na pośle Kettelerze, dyplomacya nie zdołała się zjednoczyć we wspólnym celu ratowania zagrożonych, ma słuszność Chińczyk waszyngtoński, Wi-Ting-Fang, zwalający całą winę na „chybioną akcyę“ mocarstw.

Seymourowska wyprawa, jeszcze w d. 10 czerwca, była prawdziwą mizeryą, niegodną potęg europejskich. Ruszać w dwa tysiące na Pekin, a potem, wróciwszy do Tien-tsinu w d. 24 czerwca, wyczekiwać długie dnie na odsiecz z Taku, gdzie wojska wprawdzie wylądowały, ale gdzie dyplomacya nie wiedziała, co z niemi zrobić — na to prawdziwie zdobyć się mogła tylko jędza niezgody, służąca hydrze interesu. Wojsk obcecnych w obleganym i spalonym Tien-tsinie nikt nie policzył, chociaż w d. 28 czerwca było już 14.000 w Taku, a droga do Tientsinu dla takiej siły, gdyby ją w zgodną jednolitą masę zbito, stała najzupełniej otworem. Położenie i tam było niedobre. D. 9 b. m. udało się, dzięki Japończykom, opanować arsenał zachodni i dworzec kolejowy, ale tego samego dnia jeszcze Chińczycy odzyskali arsenał, a d. 11 b. m. odebrali dworzec. D. 8 b. m. przybył do Tien-tsinu admirał Aleksiejew. Wzajemne obleganie się Chińczyków i Europejczyków rychło utracić może wzajemność, jeżeli rychło też nie przyjdą posiłki znaczne.

Szumne doniesienie o 60,000 Francuzów, o których krzyczy naród cały, aby ich posłać do Chin, znajduje zaraz tłumik w roztropnej uwadze, że pierwej rząd porozumie się z mocarstwami. Anglia, zajęta wciąż Boerami, niewiele zrobić może sama przez się, a jej umowa wrzekoma z Japonią o 68,000 wojska jest bajką wykraczającą po za granice odwagi, jaką leopard angielski rozporządza. Nad leopardy i lwy silniejsza jest hydra interesu.

Rząd włoski przegrał sprawę rozwiązania poprzedniej Izby; obecna wybrała sobie na prezesa Villę z opozycyi. Ten zaraz wyznaczył komisyę do ułożenia nowego regulaminu, odsunąwszy od niej stronnictwo ministeryalne. Nowy gabinet, Saracca, nie doczeka może nawet wakacyj parlamentarnych.

We Francyi nacyonalizm militarny znowu się burzy. Krnąbrność generalska weszła w gen. Jaumonta, *generalissimusa*, naczelnego wodza *in petto* na wypadek wojny. Niepodobała mu się dymisya szefa sztabu generalnego Delanne'a; zażądał dymisyi dla siebie. List zredagował grzecznie, ale uszczypliwie. Dostał, czego chciał. Pobudka zgodności, której bez Delanne'a niepodobna jakoby utrzymać, jest kłamstwem, bo Delanne otrzymał dymisyę, nie za jakieś techniczne złe czyny, ale za lekceważenie rozkazów ministra wojny, Andre'go, i nieuznawanie urzędników przez niego mianowanych, a Jaumont doskonale widzi słuszność takiej przyczyny. D. 4 b. m. zrobili nacyonaliści przez Faure'a i Krantza prowadzeni, burzę; brakło tylko rewolwerów. Ostatecznie przyjęto porządek dzienny przychylny dla rządu, a mowę Waldeck-Rousseau postanowiono rozlepić po całej Francyi. To samo odgrażali się zrobić nacyonaliści z mową Krantza, ale na odgrażaniu się skończyli.

Izba uchwaliła pomnożenie floty o 11 większych okrętów i podniosła wydatek proponowany o 50 milionów, do 118.

W Afryce południowej Anglicy d. 11 b. m. doznali klęski od Boerów.

Depesze z d. 18 b. m. donoszą o zupełnem opanowaniu Tien tsinu przez Europejczyków d. 14 b. m.

Anatol France.

LOETA ACILIA.

Loeta Acilia żyła w Marsylii za panowania cesarza Tyberyusza. Od kilku lat była żoną rycerza rzymskiego Helwiusza, lecz nie miała dziecka, a pragnęła go gorąco. Pewnego dnia, idąc do świątyni, aby hołd oddać bogom spostrzegła, że przedsionek zaległa gromada ludzi nawpół nagich, wychudłych, pokrytych trądem i wrzodami. Przestraszona, zatrzymała się na pierwszym stopniu gmachu. Loeta Acilia nie była nielitościwą. Żal jej było biednych, lecz bała się ich. Nadto zaś, nie zdarzyło się jej nigdy jeszcze widzieć nędzarzy tak dzikich, jak ci, których oto miała przed sobą, z twarzami blademi, o ruchach ociężałych, z próżnemi torbami rzuconemi na ziemię. Pobladła i przyłożyła rękę do serca. Nie mogąc ani postąpić naprzód, ani cofnąć się, czuła, że słabnie, gdy nagle od gromady odłączyła się niezwykłej piękności kobieta i skierowała się ku Rzymiance.

— Nie bój się, niewiasto! — przemówiła głosem poważnym a słodkim — ci, których widzisz, nie są ludźmi okrutnymi. Nie bunt i obelgę przynoszą, lecz prawdę i miłość. Przychodzimy z Judei, gdzie umarł i zmartwychwstał syn Boga. Gdy wstąpił do nieba i siadł po prawicy Ojca swego, wielkie krzywdy padły na tych, którzy weń wierzyli. Lud ukamienował Stefana. Nas zaś kapłani rzucili na okręt bez steru i bez żagli, byśmy się stali pastwą fal morskich. Wszelako Bóg, który nas kochał za życia swego na ziemi, powiódł nas szczęśliwie do tego miasta. Niestety, ludzie są tu skąpi, bałwochwalczy i okrutni. Dają ginąć z zimna i głodu uczniom Jezusa. I gdybyśmy się nie byli schronili do tej oto świątyni, byliby nas zawlekli do ciemnych więzień. A jednak należałoby nas przyjąć przychylnie, gdyż dobrą niesiemy nowinę.

Tak przemówiwszy, nieznajoma wyciągnęła ramię w stronę towarzyszy swoich i, wskazując kolejno na każdego z nich, prawiła dalej:

— Ten starzec, który zwraca ku tobie promienne spojrzenie — to Cedon, ślepy z urodzenia, a uzdrowion przez Pana. Cedon dostrzega dziś jednako dobrze rzeczy widome i niewidome. Ten drugi, o brodzie tak białej, jak śnieg na szczytach — to Maksym; ten młodzian z pozoru tak zmęczony — to brat mój. Posiadał wielkie bogactwa w Jerozolimie. Obok niego stoją Marta, siostra moja i wierna sługa Mantilla, co to w dniach szczęścia zbierała oliwki w dolinach Betanii.

— A ty — spytała Loeta Acilia — ty, której głos taki jest słodki, a oblicze tak piękne, kimże jesteś?

Żydówka odrzekła:

— Imię moje — Marya Magdalena. Po złocistym hafcie twojej szaty i po niewinnej damie twego spojrzenia poznałam, żeś jest żoną jednego z głównych obywateli tego miasta. Podeszłam do ciebie, byś u małżonka twego przemówiła za uczniami Chrystusa. Rzeknij temu możnemu: „Panie! nadzy są, odziejmy ich; są głodni i spragnieni, dajmy im chleba i wina, Bóg zaś odda nam w królestwie swojem, o co nas proszono w Jego imieniu!“

Loeta Acilia odparła:

— Maryo, uczynię, czego żądasz. Mężowi memu na imię Helwiusz, jest rycerzem i jednym z najbogatszych obywateli miasta; nigdy długo nie stawia oporu moim życzeniom, bo kocha mnie... Teraz, o Maryo, nie boję się już twoich towarzyszy — przejdę obok nich, mimo że wrzody zjadają ich ciało i pomodlę się w świątyni do nieśmiertelnych bogów, by speł-

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KATAKLIZM KOLEJOWY.

Salus populi — suprema lex.

Czytelnicy nasi znają już z opowieści dziennikarskich wszystkie poszczególne, w każdym calu tragiczne perepetye okrutnego dramatu, który rozegrał się 13 lipca na linii kolei Wiedeńskiej pod samą Warszawą. Nie mamy tedy najmniejszej potrzeby powtarzać tutaj w całej rozciągłości kronikarskiej dziejów ponurej śmierci panny Gadomskiej, współpracowniczki *Gaz. polskiej*, p. Vorbrodta, inżeniera kolei Wiedeńskiej i p. Wolanowskiego, kupca, oraz historyi mniej lub więcej ciężkich, w skutkach dziś jeszcze nieobliczonych wstrząśnień i porażeń trzydziestu kilku osób, śród których na tle szarego, bezimiennego tłumu pokrzywdzonych zarysowują się wyraźnie sylwetki kilku przedstawicieli inteligencyi naszej: Jana Gadomskiego, wydawcy *Gaz. polsk.*, dr. med. Maks. Flauma, Wł. Reymonta, powieściopisarza. Wypadki „kolejowe“ i u nas zajęły już miejsce stałej niemal rubryki w dziennikach, a powtarzają się tak często, iż nerwy publiczności oswoiły się zupełnie z tem wrażeniem. Taki znaczny atoli udział w ostatniej katastrofie przedstawicieli żywiołów zamożnych, ukształconych, z nazwiska szerszym nawet masom znanych — wywołał nad wszelki wyraz silny odruch nerwowy: całe miasto zostało zelektryzowane, dwa dni o niczem innem nie mówiono; fantazya snuła stokrotnie od rzeczywistości smutniejsze wzory, reżyserowie plotek wielkomiejskich wyprawiali sobie lukullusową orgię domysłów karykaturalnych, elastycznej aż do kłamstwa— przesady. Słowem, na spalone od żaru letniego chodniki, na wysuszone w ogniu kanikuły organizmy ludzkie spadła olbrzymia chmura ciężka, ołowiana, brzemienna nieszczęściem i wyładowała z siebie całą swoją zawartość elektryczną. Wszędzie, chwilowo przynajmniej, zadrgało życie: zapaliły się ogniska ciekawości próżnej i poważnego interesu społecznego; zaczęła działać myśl ludzka; zerwał się socyolog, przemówił ekonomista, zapłakał filantrop. Tylko reżyserowie kolejowi milczą...

Na dzisiaj wstrzymujemy się od wszelkich wniosków. Pierwszy głos należy do przedstawicieli porządku publicznego. Kiedy sprawa przedostanie się na wokandę sądu, i my swoje słówko powiemy. Dziś wrą jeszcze zanadto silnie namiętności; dziś szary, niezdolny w swych masowych ruchach do żadnego oportunizmu, tłum, gromadzi tylko maczugi złości i godzi niemi w zarząd kolejowy. Nas stać na sąd spokojny: domyślamy się, iż tragiczna śmierć ofiar nieszczęsnych mogła być wypadkową nieszczęścia, siły wyższej, przypadku, niedbalstwa — każdego z tych czynników zosobna, albo wszystkich razem wziętych potrochu. Tylko drobiazgowe dochodzenie śledcze może tutaj stworzyć dokładny mniej lub więcej z prawdą zgodny obraz wypadku. Czekajmy tedy.

Aliści z naturalną, żywiołową siłą cisną się pod pióro spostrzeżenia z doświadczeń, z opowiadań, z literatury wysnute: oto jest niemal pewnikiem, niemal komunałem, że — zapożyczamy porównania z nauki ścisłej — każdy niemal wypadek kolejowy jest odczynnikiem chemicznym systemu oszczędnościowego, owego wampira stale ścigającego wszystkie na świecie zarządy kolei żelaznych. Gdzie jest wypadek, tam była, jest, tam powiała swoją czerwoną chustą pani śmierci, karygodna „Oszczędność.“ To zostało nietylko wymyślone, ale i stwierdzone, w spiżową prawdę wyroków sądowych zarówno amerykańskich, jak europejskich, angielskich zarówno, jak włoskich lub rosyjskich zakute; to są aksyomaty.

I dlatego właśnie psychika tłumu, wrząca oburzeniem, rzucająca najcięższe klątwy na domniemanych, acz nie sprawdzonych krytycznie a formalnie, może w zupełności niesłusznie pod pręgierz stawianych winowajców nie jest bynajmniej tak bezmyślną, jak mniemamy zazwyczaj. Stosujmy metody ścisłe, chemiczne, wolne od sympatyj i sztucznych antypatyj; podwiążmy jedną i drugą arteryę wpływów, doszukajmy się samego ogniska wrzodu! To raz. Powtóre zaś jeszcze jedną już dzisiaj, nie czekając na wyniki śledztwa, chcielibyśmy uczynić uwagę. Straty kolei będą bardzo znaczne. Nie licząc wcale wydatków w zniszczonym taborze, obliczanych na 80,000 rubli, ileż set tysięcy rubli trzeba będzie wypłacić odszkodowania z tytułu śmierci lub kalectwa tylu — nie byle jakich, nie miarą chetki-pętelki mierzonych żywotów ludzkich. Któż tę stratę pokryje? Akcyonaryusze? Bynajmniej. Zazwyczaj pokrywają je, wiecie kto? Biali murzyni, urzędnicy. Kolej w danym roku daje o tyle i tyle mniejszy dochód. Już wisi nad głową Damoklesowy miecz zmniejszonej dywidendy. Rozumny atoli i zabiegliwy szafarz zaradzi biedzie. Przedewszystkiem obrzezanie gratyfikacyj; w następnem pięcioleciu nie będzie podwyżki... Straty są pokryte. Ekonom wyszedł obronną ręką. Dobry humor akcyonaryuszów został ocalony.

I jeżeli występujemy dzisiaj z jakimkolwiek wnioskiem społecznym, to z tym tylko: nie wieszajcie kowala w zastępstwie ślusarza. Nie czyńcie zemsty za winy popełnione lub niepopełnione, za dopuszczenie boże albo krótkowidztwo własne — na magnatach otrzymujących rubli 30 kop. 58½ pensyi miesięcznej. Przesuńcie swoje społeczne serce z sakiewki w stronę piątego żebra! To my, panowie kolejarze, spoczywający na miękich wezgłowiach pierwszej klasy — to my, publicyści, zapisujemy w karneciku waszym!

UNIWERSYTET KRAKOWSKI.

Wspomnienie.

V.

Zupełną też autonomię posiadał uniwersytet w zakresie czysto szkolnym, nauczycielskim. Żaden minister nie narzucał mu ani osobistości nieudolnych, nie przypadających do jego umysłowości, do naukowych i człowieczych przekonań, ludzi wstrętnych z powodu pochlebstwa i parweniuszostwa, ani też programów i urządzeń lekcyjnych, działalność krępujących. Jeżeli kto, to kanclerz tylko mógł stanąć w poprzek; ale ten był głównie od ścigania *haereticae pravitatis* i jeżeli nietykano dogmatów i duchowieństwa, zostawiał ciału nauczycielskiemu zupełną swobodę. Wszystko zatem w tej sferze, do czego nie potrzeba było iść przez rewolucyę umysłową, zależało wyłącznie od dobrej woli, rozumu, wiedzy i metody samej instytucyi. Fakultety i uniwersytet jako całość do początków XVII w. krzątały się usilnie około wewnętrznego porządku nauczania. Dochowany statut fa-

---

nili moje pragnienie. Niestety do dziś dnia modłów moich nie wysłuchali!...

Marya, rozpostarłszy ramiona, zagrodziła jej drogę.

— Kobieto! — zawołała — strzeż się i nie czcij nikczemnych bałwanów. Nie żądaj słów życia i nadziei od widm marmurowych. Jest tylko jeden Bóg, zaś był ten Bóg człowiekiem, a ja — ja włosami mojemi ocierałam Jego nogi!

Z oczu jej ciemniejszych od nieba podczas burzy trysnęły przy tych słowach łzy i zapaliły się w nich błyskawice. Zaś Loeta Acilia pomyślała w duchu:

— Jestem pobożna, dokładnie dopełniam obrzędów przez wiarę przepisanych... Ta zaś kobieta dziwnie rozumie miłość bożą...

A Magdalena w uniesieniu mówiła dalej.

— Był to Bóg nieba i ziemi. Siedząc na ławce, przed progiem, w cieniu starego, figowego drzewa, opowiadał przypowieści. Był młody i piękny... Chciał być kochany... Kiedy przychodził na wieczerzę do domu siostry mojej, siadywałam u Jego stóp — słowa zaś płynęły z Jego ust, jako woda ze źródła. A kiedy siostra moja, skarżąc się na moje lenistwo wołała: „Rabi, powiedz jej, że sprawiedliwem jest, aby pomogła mi przygotować wieczerzę!“ On uśmiechał się i uniewinniał mnie, zatrzymywał mnie, u stóp swoich i mówił, że lepszą część wybrałam. Widząc go, rzecby można, że to pasterz górski, a jednak — ze źrenic Jego biły blaski podobne tym, jakie płynęły z Mojżeszowego czoła. Słodycz jego była podobna do ciszy nocnej, zaś gniew jego straszniejszy był od grzmotu. Kochał maluczkich i dzieci. Te wybiegały na jego spotkanie i czepiały się szat jego. Był to Bóg Abrahama i Jakóba i temi samemi dłońmi, które stworzyły słońce i gwiazdy, gładził twarzyczki nowonarodzonych dziatek, podawanych mu z progu chat przez szczęśliwe matki. On sam był skromny jak dziecko, a wskrzeszał umarłych. Oto między towarzyszami moimi widzisz brata mego, którego podniósł z grobu. Patrz, o niewiasto, Łazarz zachował na czole bladość śmierci, w oczach zaś — trwogę, która go schwyciła na widok całunów.

Ale już od kilku chwil Loeta Acilia nie słuchała. Wzniosła ku żydówce łagodne oczy i małe, gładkie czoło:

— Maryo — rzekła — jestem kobietą nabożną, przywiązaną do wiary moich ojców. Bezbożność jest szkodliwa dla mojej płci. I nie wypadałoby, aby małżonka rycerza rzymskiego okazała skłonność do zajmowania się nową wiarą. Przyznaję wszelako, że są na Wschodzie bogowie uprzejmi. Wydaje mi się, że należy do nich twój Bóg, Maryo! Mówiłaś mi, że kochał małe dzieci i że całował je, gdy spoczywały w objęciach młodych matek. Po tem poznaję, że jest to Bóg, sprzyjający niewiastom; żałuję, że nie cieszy się czcią wśród arystokracyi i urzędników państwa, gdyż chętnie składałabym mu ciastka z miodem w ofierze. Jednakże, słuchaj Maryo - żydówko, pomódl się do niego ty, którą on kocha i proś go dla mnie, o co sama prosić go nie śmiem i czego odmówiły mi moje boginie...

Loeta Acilia z wahaniem wymówiła te słowa. Urwała i zarumieniła się.

— O cóż mam prosić? — zapytała żywo Magdalena — czego brak twojej duszy niespokojnej, niewiasto?

Uspokoiwszy się, Loeta Acilia odpowiedziała:

— Maryo! jesteś kobietą i chociaż cię nie znam, niechaj mi będzie wolno powierzyć ci tajemnicę niewieścią. Oto sześć lat jestem zamężną, a nie mam dziecka. Trzeba mi dziecka, którebym mogła kochać; miłość, jaką mam w sercu dla tej drobnej istoty, której czekam, a która nie zjawi się może nigdy, dusi mnie. Jeżeli za twojem pośrednictwem, Maryo, bóg twój spełni życzenie, któremu nie dały posłuchu moje boginie, powiem, że to jest dobry

kultetu filozoficznego w r. 1579 daje dobre wyobrażenie o schemacie, w który tylko potrzebowali wejść żywi ludzie, aby wytworzyć porządne, względnie do ówczesnego stanu umysłowego, funkcye nauczania. Jest tam wszystko: przedmiot, podręcznik, programat, metoda, objaśnienia, wskazówka, — cała ordynacya profesury. Nie gorzej w prawa i przepisy zaopatrzone były inne wydziały. Ciężar wykładu padał na stronę dyalektyczną; wykład nie płynął potokiem spokojnym, ale przewijał się między skałami rozpraw, wikłał w wiry dysput, do których każdy z *collegiatów* musiał dawać temata, a na których bywać miał obowiązek. Mało było, chyba w matematyce, astrologii i astronomii, usystematyzowanych i w jedną całość zindywidualizowanych nauk, jakimi są nasze dzisiejsze; głównie wykładano autorów, ich dzieła, a komentowanie samo już sprowadzało dysputy. Fakultet medycyny nie miał niezbędnych laboratoryów, pomocy, środków i narzędzi nauczania, żadnych okazów; był zupełnie jak bez rąk, bo nie miał co wziąć w ręce. Stąd stan jego, nawet w najświetniejszych czasach instytucyi, był nizki, dorobek umysłowy przeważnie zagraniczny, zaopatrywanie kraju w lekarzy mało co wzbijające się nad zero. Zadziwia to tem bardziej, że fakultet medycyny miał monopol kwalifikowania lekarzy osiadłych w Krakowie, i że nawet formalnie wszyscy lekarze krakowscy do fakultetu tego należeli.

Wykład całoroczny rozpadał się na dwa semestra (*commutationes*): zimowy i letni (*hiemalis* i *aestivalis*); pierwszy zaczynał się na św. Łukasza (18 października), kończył w poście; drugi na św. Marka (25 kwietnia) i u filozofów trwał nawet przez miesiące kanikularne do sierpnia; odpowiadało to mniej więcej dziś jeszcze tradycyjnie dochowanym terminom uniwersytetów niemieckich. Od r. 1550 filozofowie mieli przerwy kanikularne; rozpoczynali po św. Bartłomieju, kończyli na św. Michał. Lekcye rozpoczynały się bardzo rano, przerywały na południe i zabierały znowu kilka godzin przed wieczorem. Audytorya były, z wyjątkiem owego teologicznego, ciasne, niewygodne, słabo oświetlone, lecz Wieki Średnie wszędzie grzeszyły nieporządkiem — a mówimy przecież o instytucyi średniowiecznej, którą powszechne Odrodzenie umysłowe bardzo nieznacznie tylko i na krótko odświeżyło. W soboty i niedziele odbywały się obowiązkowe dysputy; niedzielę święcono korporacyjnie. Nauka przychodziła prawie darmo; urzędowych opłat młodzież nie wnosiła, dopiero za bakalaureat. Więcej pewno zyskiwali bakałarze ochmistrzujący na mieście, niezależnie od uniwersytetu, niż mistrze i doktorowie, nauczający w kolegiach. Ponieważ nie było gimnazyów, a z zakładów wyższych nad szkołę parafialną jedna tylko akademia Lubrańskiego w Poznaniu zasługiwała na wzmiankę, przed powstaniem zatem szkół jezuickich na początku drugiej połowy XVI w. i jednoczesnem wyrośnięciem z gruntu reformacyi szkół protestanckich, aż do powstania akademii wileńskiej (1579) uniwersytet krakowski ściągał do siebie z całej Polski tych wszystkich, którzy szukali wiedzy szkół średnich. W końcu XV w. napływ był ogromny. Ottaviano di Guccio de Calvani w liście do przyjaciela swego Tedaldiego pisze, że na pogrzebie Kallimacha (zm. 1 listopada 1496 r.) było 15,000 uczniów. Przypuśćmy, że byli i ze szkół parafialnych i z okolicy, połowa jeszcze zostanie na samą macierz jagiellońską. Przeszło cztery tysiące żaków wyciągnęło w r. 1549 po wypadku zabójstw, spełnionych przez służbę Czarnkowskiego. Odtąd już uczęszczanie się zmniejszyło, ale przyczyną tego była raczej zawierucha reformacyjna i reformatorska, niż zniechęcenie się do szkoły niedającej dostatecznej opieki. Na pierwszych latach niewątpliwie exodus odbił się bezpośrednio a dotkliwie.

Dotychczasowe badania nie wskazały jeszcze stosunku plebejuszów do patrycyuszów: synów kmiecych, chłopskich, do drobno i większo - szlacheckich uczących się w Akademii; panicze bowiem, dzieci możnowładców i karmazynów, nie kwapili się do Krakowa; woleli w Portugalii lance łamać. Pomimo stałej od Przywileju Koszyckiego dążności do upośledzenia ludu nie widać jednak jeszcze w XV w. skutków ograniczeń wytargowanych przez pospólstwo szlacheckie w Opocie i Nieszawie: musiał być jeszcze żywioł demokratyczny, mieszczański i wiejski, silnym, jeżeli tylu nie-szlachty spotykamy wpośród profesorów, a ów pogrzeb Kallimacha niewątpliwie musiały całe rzesze synów chłopskich uświetnić. Ale w roku właśnie tej wielkiej rojności, na nowo stwierdzone i wzbogacone jeszcze przywileje opocko-nieszawskie nie mogły nie złamać tej najdzielniejszej sprężyny życia, jaką wybrane, przez samą naturę wyposażone jednostki z ludu znajdowały w oświacie, a w niej przez stopniowanie, niezawodnie i w samodzielnem już życiu umysłowem. Zielone pędy na drzewie żywota ledwo wystrzeliły, zaraz obumierały; tysiące talentów zagrzebanych leży w wielkiem rumowisku dziejowem. Gdy jeden tylko syn gospodarski mógł się wydalić ze wsi, czy to na zarobek, czy do rzemiosła, czy wreszcie po naukę; gdy szkół na miejscu nie było — którędyż miała oświata przenikać do ludu; czy mogło główne jej ognisko w kraju korzystać z tego najwyższego daru, jaki natura w ludzie ustawicznie składała; i czy nakoniec formacya społeczno - narodowa o tyle jednorodna, skupiona, i zbita, o ile samo życie dziejowe domagało się takich jej przymiotów — wytworzyć się mogła? *Nessun maggior dolore...*

[illegible] szlacheckiej budowie społeczeństwa — nie mógł Zygmunt I dać skuteczniejszego bodźca, silniej przywiązać do instytucyi, niż to uczynił w przywileju nadanym Akademii w r. 1535. Każdy profesor *actu legens* ma szlachectwo osobiste, każdy, za przykładem św. Państwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, po latach dwudziestu zyskuje szlachectwo dziedziczne dla najdalszych swych potomków. Szlachcica takiego uszlachca sam urząd profesora; nie potrzebne mu są umyślne nobilitacye. Pozyskane szlachectwo jest doskonałem: obejmuje i prawo własności ziemskiej i prawo do wszelkich urzędów, godności i zaszczytów, nawet senatorskich. Gdy się zestawi z tem uszlachcaniem *ipso facto* nobilitacye Batorego na polu bitwy, nie podobna będzie nie dostrzedz w nich, dla samych może twórców niewidzialnej, drogi do wytworzenia nowej szlachty, któraby mogła rosnąć i rozwijać się lepiej, niż rozsady brane z rabat drobno-szlacheckich, ciemnych a chciwych i bez oświaty tylko do parweniuszowstwa i pochlebstwa zdolnych. Te tłumy, te kupy posesyonatów, te wybory *catervatim*, to panowanie możnowładców, używających drobiazgu szlacheckiego za narzędzie własnej wielkości i dających go na strawę pysze i intrydze — wszystko to rozwój obu powyższych instytutów prawnych — mógł powściągnąć.

Współzawodnictwo z Jezuitami i rzeczywista potrzeba pobudziły uniwersytet już w końcu XVI w. do wydzielenia z siebie instytucyi gimnazyalnej, kolegium t. zw. nowodworskiego - władysławskiego, z zapisów prywatnych ostatecznie urządzonego w r. 1633. Nauczali w niej magistrowie młodsi, wglądali w nią starsi. Były w niej cztery klasy: wyższe—dyalek-

---

bóg, będę go kochała i przyjaciółki moje namówię, aby go kochały — przyjaciółki zaś moje są młode, bogate i pochodzą z pierwszych rodów miasta!

Magdalena odrzekła poważnie:

— Córko rzymian, gdy otrzymasz, czego żądasz, przypomnij sobie obietnicę, uczynioną słudze Chrystusa!

— Będę o niej pamiętała — odparła rzymianka. Tymczasem, Maryo, weź tę sakiewkę i podziel się z towarzyszami pieniędzmi, które zawiera. Bądź zdrowa — wracam do domu. Za powrotem każę wysłać tobie i towarzyszom twoim kosze pełne chleba i mięsa. Powiedz bratu twemu, i siostrze twojej i przyjaciołom twoim, że bez obawy opuścić mogą to schronienie i udać się do jakiegokolwiek zajazdu na przedmieściach. Helwiusz jest możny i nie pozwoli im czynić krzywdy. Bogowie niechaj cię chronią, Maryo Magdaleno! Jeśli zechcesz mnie widzieć, zapytaj przechodniów o dom Loety Acilii — każdy wskaże ci go bez trudu.

II.

I oto po sześciu miesiącach Loeta Acilia, spoczywając na purpurowem łożu w podwórzu swego domu, półgłosem śpiewała piosnkę, która nie miała sensu, a którą niegdyś śpiewała była jej matka. W fontannie, z której wypływały dwa marmurowe trytony, wesoło szemrała woda i ciepły powiew łagodnie kołysał szumiące liście starego platanu. Przestawszy śpiewać, młoda kobieta — zmęczona, osłabiona, szczęśliwa — skrzyżowała ręce na zaokrąglonych piersiach, powiodła naokoło wzrokiem i westchnęła ze szczęścia i dumy. U nóg jej niewolnice czarne, żółte i białe pracowały na wyścigi około wyprawki oczekiwanego dziecka. Loeta wyciągnęła rękę i wzięła czepeczek, który podawała jej stara czarna niewolnica. Włożyła go na piąstkę swoją i zaśmiała się. Był to czepeczek zrobiony z purpury, złota, srebra i pereł — przepyszny jak marzenia biednej Afrykanki.

Tejże chwili nieznajoma kobieta ukazała się w dziedzińcu. Miała na sobie suknię uszytą z jednej sztuki, a przypominającą kolorem barwę pyłu przydrożnego. Długie jej włosy przysypane były popiołem, lecz oblicze, chociaż spalone przez łzy, promieniało natchnieniem i pięknością.

Biorąc ją za żebraczkę, niewolnice podniosły się, by ją wypędzić. Loeta Acilia poznała ją wszakże od pierwszego rzutu oka, powstała i biegła ku niej, wołając:

— Maryo, Maryo! prawdą jest, że byłaś wybranką Boga. Ten, którego kochałaś na ziemi, wysłuchał cię w niebie i dał mi, o co go za twojem prosiłam pośrednictwem. Patrz!—dodała—i pokazała jej czepeczek, który trzymała jeszcze w ręce. — Jakże jestem szczęśliwa i tobie wdzięczna!

— Wiedziałam o tem — odparła Marya Magdalena — i oto przychodzę, aby oświecić cię w prawdzie Chrystusa Pana!

Natenczas Rzymianka kazała oddalić się niewolnicom i przysunęła Żydówce krzesło z kości słoniowej o poduszkach szytych złotem. Lecz Magdalena odepchnęła krzesło ze wstrętem i siadła na ziemi u stóp platanu, szemrzącego wśród powiewów.

— Córko Rzymian — rzekła — nie pogardziłaś uczniami Pana. Byli spragnieni, napoiłaś ich; głodni byli, a tyś ich nakarmiła. Dlatego zapoznam cię z Jezusem tak, jak sama się z nim znałam — abyś go kochała, jak ja go kocham...

— Byłam grzesznicą, kiedym po raz pierwszy ujrzała najpiękniejszego z synów ziemi...

I opowiedziała, jak to w domu Szymona rzuciła się do nóg Jezusowi, jak na ubóstwione stopy Pana wylała pachnidło zawarte w alabastrowem naczyniu... Powtórzyła słowa, które słodki mistrz wymówił w odpowiedzi na szemrania uczniów:

— „Dlaczego łajecie tę kobietę? — powiedział. — Co mi uczyniła, dobrze jest

tyki i retoryki, niższe poetyki i gramatyki. Gimnazyum to współzawodniczyło z samym uniwersytetem, który w XVII w. właśnie upadać zaczął. Oprócz tego gimnazyum Uniwersytet miał pod sobą kolonie po całej Koronie; Litwę zagradzała mu Akademia Wileńska. Nazywały się one „Akademiami,“ były przeważnie szkołami przykościelnemi, parafialnemi — niewiele co wyższemi nad elementarne, chociaż zdarzały się i o wyższej już skali. Uniwersytet obsadzał je wybranymi przez siebie bakałarzami. Czasem nawet zjawiał się magister, lub nawet doktor, na nauczyciela takiego zakładu, na którym tytuł ciążył jak dach wielopiętrowy na drewnianym domku. Było tych szkół, obsadzanych przez uniwersytet, ze dwieście, może więcej. Od chwili wyparcia szkół jezuickich z Krakowa na początku panowania Władysława IV najpoważniejszy i najzaciętszy też bój toczył się o Lwów. I tu Akademia wygrała: ale z wygranej nie skorzystała: dopiero w XVIII w. we Lwowie powstała szkoła, przypominająca przynajmniej kilka klas gimnazyum. Niewiele były warte szkoły: ale nieocenioną wartość miało samo prawo zakładania ich i prowadzenia. Jakkolwiek wypadnie ostateczny obrachunek korzyści i strat, uprawnień i czynów, gorliwości i niedbalstwa, zasługi i niemrawości, to jedno już powiedzieć można, że Akademia, jako osoba zbiorowa, publiczna — jako władza i urząd społeczny nie pojęła swego powołania, nie spełniła swych obowiązków: nie była szkołą główną, macierzą szkół niższych w kraju.

A co się stało z owemi zwierzętami Piotra Wyża*), z perlą, którą zaopatrywać miała naród w męże znakomite, z postronkami, które namiot nowozakładany przez długie wieki przytrzymywać miały — ze wszystkiemi nadziejami, obietnicami, z całem tem anielskiem widzeniem, w które z zachwytem szczerej miłości i wiary wpatrywali się pierwsi rozpalacze światła, pierwsi założyciele Akademii? Czy spełniła ona swe zadanie w świecie nauki i we własnym narodzie? Na pytania te odpowiedzieć może tylko głęboka boleść: nie! Za długo w niej panowały Wieki Średnie, za wiele było tradycyi i rutyny i nietykalnych dogmatów, za wiele klasycyzmu i teologizmu, Arystotelesów, Cyceronów i Platonów, za mało światła, natury, samodzielności rozumu, prostej nawet ciekawości zjawisk. Jakaś lękliwa małość przejmuje całą jej istotę; przebija się w piśmiennieczych owocach, a później w piśmienniczej bezpłodności jej nauczycielstwa. Gdy rozum wszędzie już drgał przyszłością, u nas właśnie zapadał na uwiąd starczy. Na początku XV w. była Akademia w Krakowie jak Sorbonna w Paryżu. W końcu XV w. miała jedną z najwyższych w Europie katedr astronomii. Cudzoziemcy zjeżdżali się do Krakowa po światło, wytwarzały się całe „narody“ uczniów z obczyzny. Przez wiek XVI pomimo mielizn jeszcze nawa cała i z nietkniętym sterem naprzód, choć ociężale, pomyka. Od Zygmunta III zaczyna się obumieranie. Wzrasta jezuityzm i dewocya, wzrasta równolegle oligarchia i sobkostwo—schnie Akademia. Kiedy w r. 1778 Kołłątaj otrzymał polecenie zreformowania jej na istotną Szkołę Główną, zastał już zeschłe gałęzie i pień z kory odarty. Akademii już nie było.

Stanisław Krzemiński.

*) Pisany „Wysz,“ „Wyss.“ W nr. 25 błędnie wydrukowano „Wąż.“

LISTY PETERSBURSKIE.

Zbliżenie polsko - rosyjskie na gruncie ekonomicznym.

Dużo pisano o zbliżeniu polsko - rosyjskiem ze stanowiska czysto politycznego. Obecnie w sprawie tej zabrał głos *Siewiernyj Kurjer* w osobnym artykule (nr. 226), ale ze stanowiska wyłącznie ekonomicznego. Ze względu na samą kwestyę, jak również na sposób jej traktowania, uważamy za stosowne streścić ten artykuł. Takie zbliżenie, zdaniem autora, pokonać może wszelkie przeszkody narodowe. Fakty zaś z ostatnich lat wymownie świadczą, że już bardzo dużo na tem polu zrobiono i że dawniejsza walka ekonomiczna między Rosyą środkową a kresami państwa wkrótce zejdzie do dziedziny podań. „Dopóki Rosya i Polska były krajami przeważnie rolniczymi i dopóki w nich panował przemysł drobny, interesy zarówno jednej jak i drugiej były w znacznej mierze dla siebie obce, a nawet poniekąd sprzeczne. Jeżeli obecnie widzimy nawet ożywioną walkę przemysłową pomiędzy środkowemi a zachodniemi dzielnicami państwa, to z drugiej strony nie należy zapominać o tem, że mamy do czynienia z bardzo powikłanym splotem i starciem interesów. Może się okazać np. że interesy rolników rosyjskich daleko ściślej są związane z interesami ziemian polskich, niż kupców i fabrykantów moskiewskich.“

Autor w dalszym ciągu powołuje się na dość ciekawy materyał, zebrany w tej sprawie przez znaną ekonomistkę, Różę Luksemburg, w broszurze p. t. „Rozwój przemysłowy Królestwa Polskiego.“

Znaczny wzrost przemysłu wielkiego w Polsce datuje się głównie od siódmego dziesięciolecia wieku niniejszego, przyczem wogóle suma produkcyi wzrosła w tym okresie o 169%. Około 61% wszystkich istniejących w Królestwie Polskiem wielkich fabryk powstało po r. 1870.

Ten wzrost przemysłu wielkiego pozostawał, jak twierdzi *Siewier. Kurjer*, w ścisłym związku z rosyjską polityką celną; ale na podkreślenie zasługuje ta okoliczność, że dzięki sąsiedztwu Królestwa Polskiego z Niemcami i przeniesieniu wielu kapitałów niemieckich do Królestwa, zogniskowanie przedsiębiorstw kapitalistycznych odbywało się tu szybciej, niż w Rosyi właściwej. Tak np. w przemyśle bawełnianym okręgu polskiego liczba wrzecion zwiększyła się w okresie 1877—1886 o 134%, podczas gdy w okręgach rosyjskich tylko o 32%, osobno zaś w okręgu moskiewskim o 45%. Uderzający wzrost polskich miast przemysłowych przypomina wzrost miast amerykańskich. Malutka Łódź stała się olbrzymiem ogniskiem przemysłowem. Posiada ona takie fabryki, jak np. Scheiblera, z 7,000 robotników i produkcyą roczną 15 milionów rubli. Szczególnie uderzający jest wzrost przemysłu w okręgu sosnowickim, w którym produkcya fabryk wzrosła w okresie 1879—1886 o 2,500 proc. Jednocześnie dają się spostrzegać olbrzymi wzrost produkcyi węgli. R. 1860 w Królestwie Polskiem wydobyto węgli tylko 3,6 mil. pudów. w roku zaś 1890 produkcya doszła do 150,8 mil. pud., co daje 993 proc. przyrostu.

Siewier. Kur. kładzie nacisk na to, iż głównym rynkiem zbytu produktów polskich jest Rosya, która pochłania około 55% ogólnej produkcyi fabryk polskich. „Polska także gra wybitną rolę w handlu rosyjsko-azyatyckim, wysyła bowiem znaczną ilość towarów na jarmarki niższonowogrodzki i irbicki.“

„Taki olbrzymi wzrost przemysłu polskiego nie mógł ujść uwagi „samobytni-

---

uczyniono. Zawczasu namaściła ciało moje do grobu. Zaprawdę, powiadam wam, wszędzie, gdzie głosić będą słowa moje i czyn jej będzie głoszon i chwalić ją będą za to, co uczyniła!...“

Wytłomaczyła następnie, jak to wypędził z niej Jezus siedem szatanów, i dodała:

— Wtedy, zachwycona, gorejąca wszystką radością wiary i miłości, żyłam przy boku mistrza, jak w nowym Edenie!...

Mówiła o liliach polnych, którym przyglądali się pospołu i o nieskończonem szczęściu — o szczęściu wiary... I mówiła, jak Go zdradzono i ukrzyżowano dla zbawienia ludu. Przypominała bajeczne sceny męki, złożenia w grobie i zmartwychwstania.

— To ja! — zawołała — ja zobaczyłam Go pierwsza. Dwaj aniołowie w białych szatach siedzieli na miejscu, gdzie złożono jego zwłoki — jeden u głów, drugi zaś u stóp Pana. I rzekli do mnie: „Dlaczego płaczesz, niewiasto?“ — Płaczę, bo zabrali mego Pana, a nie wiem, gdzie Go położyli! O radości! Myślałam, że ogrodnik zbliża się do mnie, a to zbliżył się Jezus i zawołał: „Maryo!“ Poznałam Go po głosie i krzyknęłam: „Rabi!“, wyciągając ku niemu ramiona. On wszakże rzekł łagodnie: „Nie dotykaj mnie, albowiem nie wzniosłem się jeszcze do Ojca mego!...“

Słuchając tej opowieści, Læta Acilia traciła powoli spokój i rozradowanie. Myślała o sobie, o swojem życiu i widziała, że byt jej był dość jednostajny w porównaniu z życiem tej oto kobiety, która kochała Boga. W jej życiu wyróżniały się od innych te tylko dnie, w których wygodnie, w gronie przyjaciółek, spożywała słodycze. Zabawy w cyrku, miłość Helwiusza i igła wypełniały dotychczas wszystkie jej godziny. Ale czemże było to wobec rzeczy, któremi Magdalena rozgrzała jej zmysły i duszę. Uczuła w sercu gorzką zawiść i niejasny żal. Zazdrościła tej żydówce, której gorąca uroda widniała nawet z pod popiołów pokuty, boskich przygód i cierpień bez nazwy...

— Idź precz! Żydówko! — krzyknęła, wstrzymując łzy zaciśniętemi pięściami — idź precz! Przed chwilą taka byłam spokojna... Mniemałam się szczęśliwą! Nie wiedziałam, że istnieje na świecie inne szczęście prócz tego, którego sama zaznaję. Nie znałam kochania innego, prócz miłości Helwiusza i innych świętych uciech prócz tych, jakie przekazały mi babka i matka moja. O, to było takie proste! Niedobra! Chciałaś mi obrzydzić miłe życie, które wiodłam. Lecz nie udało ci się... Po co przyszłaś mi opowiadać o miłości twojej dla widomego Boga? Po co chwalisz się przede mną tem, żeś widziała zmartwychwstałego Pana, skoro ja, ja go nie zobaczę! Chciałaś zatrzeć we mnie radość, nawet tę radość, jaką budzi nadzieja posiadania dziecka! To brzydkie! Nie chcę znać twego Boga! Zanadto go kochałaś! By mu się podobać, trzeba leżeć u nóg Jego!... Tak czynić nie wypada małżonce rycerza!... Helwiusz gniewałby się, gdybym w ten sposób Boga wielbiła... Nie chcę religii psującej uczesanie!... O, z Chrystusem twoim nie zapoznam dziecka, które noszę w łonie. Jeżeli to będzie dziewczynka, nauczę ją kochać nasze małe boginie z gliny, boginie, które nie większe są niż palce, a z któremi bawić się będzie mogła bez obawy. Takich bóstw trzeba matkom i dzieciom! Jak śmiesz zachwalać mi tę twoją miłość i zachęcać mnie, abym ją podzielała? Nie wiodłam nigdy życia grzesznicy; nie byłam opętana przez siedmiu szatanów, nie wałęsałam się po drogach! Jestem szanowną kobietą! Idź precz!...

Tłom. *M. P. G.*

ków.“ Jeszcze w r. 1885 p. S. Szarapow wystąpił przeciwko przemysłowi łódzkiemu, walcząc o interesy kupców i fabrykantów moskiewskich pod pozorem, że Łodzią zawładnęli Niemcy. W r. 1890—91 rząd zajął się zbadaniem tej kwestyi, przyczem praca Biołowa wykazała, że jakoby Moskwa posiadała wszelką przewagę nad Łodzią, a p. Szarapow nawet tym razem przyszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku i że nie należy przedsiębrać żadnych ograniczeń względem Łodzi.

„Bezstronne rozpatrzenie tej sprawy przekonywa, że lamenty patryotyczne fabrykantów moskiewskich mają pewną podstawę, gdyż te przywileje, z których korzysta Moskwa, nie mogą wyrównać straty fabrykantów, wynikłej z ich kulturalnego zacofania. Niewątpliwie płaca robotników w Moskwie jest niższa, niż w Królestwie Polskiem, a po stronie Moskwy jest przewaga dłuższego dnia roboczego. Ale, jak wiadomo, przywilej ten jest bardzo względny. Robotnik polski mniej jest przepracowany, pobiera wyższą płacę, lepiej się odżywia, a więc i pracuje intensywniej. „Sprzyjają tam także wyższy poziom oświaty i lepsze warunki mieszkalne robotnika polskiego, tak iż ostatecznie w rzeczywistości robotnik polski kosztuje fabrykanta taniej, niżeli rosyjski. Tak np. w obliczeniu na pudy tkanin bawełnianych widzimy, iż płaca robotnika wynosi w Królestwie Polskiem przeciętnie około rubla, podczas gdy w Rosyi dwa razy więcej.

„Nie ulega tedy wątpliwości — twierdzi *Siewier. Kur.*—że współzawodnictwo z Polską nie jest łatwe dla okręgów środkowo-rosyjskich. Ale wnioskowanie o polsko-rosyjskich stosunkach ekonomicznych tylko na podstawie współzawodnictwa Łodzi z Moskwą byłoby sądem nazbyt powierzchownym. Jeżeli nie będziemy brali oddzielnych okręgów i osobnych gałęzi przemysłu, lecz wogóle weźmiemy całość produkcyi rosyjskiej i polskiej, to się okaże, że między obu krajami istnieje wielka solidarność kapitalistyczna. Podczas, gdy Cesarstwo zaopatruje Królestwo Polskie w produkty surowe, szczególnie wełnę, żelazo-surowiec, koks, bawełnę, Królestwo dostarcza Cesarstwu przędzę wełnianą, węgiel kamienny i maszyny.

„O tem, jak się z sobą wiążą, niezależnie od narodowości, interesy rosyjsko-polskie, można wnosić z narad o taryfach zbożowych w Petersburgu r. 1896. „Tam przedstawiciele rosyjskich okręgów nadwołżańskich szli ręka w rękę z fabrykantami polskimi, podczas gdy rolnicy moskiewscy zupełnie się solidaryzowali z ziemianami i młynarzami polskimi. Oczywiście w olbrzymiej całości, objętej ogólną polityką celną, interesy klasowe w dziedzinie ekonomicznej górują nad dążnościami narodowemi.“

W r. 1888 te same zjawiska dały się zauważyć w przemyśle fabrycznym. Po wzajemnych bardzo namiętnych sporach w sprawie współzawodnictwa, zarówno łódzcy, jak i moskiewscy fabrykanci przedsięwzięli szereg zabiegów zupełnie zgodnych, a dotyczących polityki celnej.“

„Nie można zresztą przeczyć, że warunki bardziej kulturalne, w jakich żyje robotnik polski zmuszają niekiedy fabrykantów polskich do takich zabiegów, które niby mają na względzie interesy warstw pracujących. Wiadomo np., że fabrykanci łódzcy długo i bezskutecznie kołatali o skrócenie dnia roboczego do normy 11-godzinnej. Grała tutaj rolę rozumie się nietyle sympatya dla robotników, ile ta myśl, iż przy jednakowej długości dnia roboczego wyższość techniki polskiej okaże się jeszcze widoczniejszą, niż dzisiaj.“

Siewiernyj Kur. naszkicowawszy taki obraz interesów ekonomicznych Cesarstwa i Królestwa Polskiego, przychodzi do wniosku, że „jeżeli interesy fabrykantów w środkowych guberniach Cesarstwa jeszcze bardzo się różnią od interesów fabrykantów polskich — w znacznej mierze zależy to od kulturalnego i technicznego zacofania centrum. Wszystko, co w Rosyi wewnętrznej będzie sprzyjało podniesieniu kultury i techniki — losowo zbliży burżuazyę rosyjską i polską. Zbliżenie to będzie nie na gruncie uczuć, nie w imię wzajemności słowiańskiej, lecz w imię interesów materyalnych. Ale w takim razie kwestya zbliżenia rosyjsko-polskiego przybiera nowe światło. Tam, gdzie na pierwszym planie stoją interesy grup należy pamiętać, że takie interesy istnieją śród wszelkich grup. Różne żywioły społeczeństwa znajdą ogólne punkty zetknięcia, nie bacząc na różnicę religii i języka. Będzie to rzeczywiste zbliżenie polsko-rosyjskie, wobec którego jest nawet bezsilny szowinizm jezuicko-szlachecki i zamoskworecki“ *).

W tym obrazie wielce charakterystycznym, szczególnie co do interesów burżuazyi jest sporo prawdy. Wogóle jednak sąd *Siewiernego Kurjera* pod wielu względami jest zbyt pobieżny i naciągany, a nawet zupełnie mylny, jak np., gdy mówi o ujawnionej jednomyślności rolników i fabrykantów rosyjskich i polskich podczas narad w sprawach taryf zbożowych. Właśnie na takich naradach niejednokrotnie zaznaczyła się wielka sprzeczność interesów, która wywołała gorące spory, jak np. przed kilku laty na pierwszym zjeździe młynarzy. To samo było podczas ustanawiania skali taryfy różniczkowej na przewóz zboża.

Paweł Krzyżanowski.

*) „Zamoskworecje“ — część Moskwy, zamieszkałej przez świat kupiecki.

Z NIEMIEC.

Berlin, 17 lipca.

Antysemityzm polityczny w Niemczech stacza się w przepaść ostatecznego szalbierstwa. Stronnictwo, które w domowej aptece środków agitacyjnych przechowuje potworne przesądy średniowieczne, jakimi niegdyś mamki straszyły dzieci, stronnictwo, które dla podsycania nienawiści rasowej stara się obudzić w swych zwolennikach uśpione krwiożercze i zwierzęce instynkty samo odsądza siebie od czci i wiary. Dopóki antysemityzm tutejszy opierał swe żydożerstwo na dowodach charakteru społecznego, można było łudzić się co do jego dobrej wiary i szczerych chęci, można było przypuszczać, iż rzeczywiście, jak nazywa siebie ta skompromitowana dziś w Niemczech grupa, zamierza być partyą „reformy społecznej.“ Obrona interesów rzemiosła i drobnego handlu, filipiki przeciwko giełdzie, lichwie, spekulacyom miały pewną racyę bytu. Można było wybaczyć jej śmieszne wybryki i bezmyślne słabostki, jako to kokietowanie wegetaryanizmu i „lecznictwa naturalnego,“ antywiwisekcyonizmu i obronę ptaków obdzieranych z piór dla przyozdabiania kapeluszów damskich, oraz inne mniej lub więcej zabawne banialuki. Antysemityzm tutejszy nie długo jednak zachowywał pozory taktyki partyjno-politycznej. Gdy jednak okrąg za okręgiem przeniewierzał się antysemitom, a to dlatego, iż w okręgach tych nie można było w promieniu dziesięciu mil znaleźć Żyda na lekarstwo, gdy słowem sprawy przybrały niepomyślny obrót, wtedy antysemici postanowili uprościć metodę szczucia. Zamiast zapuszczać się aż w dziedzinę dowodów i polemik, zamiast działać faktami natury ogólno-społecznej, chwycono się teraz napaści osobistych, szykan, szpiegowania Żydów, węszenia ich we wszystkich klęskach i plagach społecznych. Gdyby dżuma nawiedziła Europę, z pewnością nie omieszkanoby przypisać ją, jak w wiekach średnich, nieczystym sprawkom Żydów; nie wstydzonoby się, jak to miało miejsce w XIII stuleciu, oskarżać ich o zatrucie studzien. Na nieszczęście istnieje dziś kanalizacya, a dżumy jak niema tak niema; pozostała więc tylko bajka o „morderstwie rytuałowem,“ dokonywanem przez Żydów na dzieciach chrześciańskich dla otrzymania krwi na placek wielkanocny. I oto na tym koniku, a raczej chudej, starej szkapie zaczęli harcować antysemici. Okazye do odświeżenia tej okrutnej legendy nadarzały się aż zbyt często w ostatnich latach, mnożyły się wypadki zabójstw, których sprawcy potrafili wymknąć się z rąk sprawiedliwości. Tutejsza policya śledcza, znana ze swej wadliwej organizacyi, a nadto pochłonięta wciąż tropieniem upiorów przewrotu, ściągnęła z tego powodu na siebie kilkakrotnie nawet naganę. Antysemici wyzyskali tę niezaradność jako wodę na swój młyn. Cóż łatwiejszego, jak bardziej zagadkowe zabójstwa zapisać na rachunek Żydów? Z początku tego rodzaju ssane z palca potwarze nie sprawiały żadnego wrażenia, oprócz śmieszności. Najbardziej „przekonywające i oczywiste“ argumenty przyjmowano ze wzruszeniem ramion, jak przywidzenia obłąkańca. I dopiero po długich, ciężkich zachodach, udało się antysemitom rzucić nasienie złego na glebę ciemnoty i fanatyzmu. W Chojnicach znaleziono przed kilku miesiącami w wodzie resztki tułowia gimnazyasty Wintera. W znalezionych częściach ciała nie było krwi. Rozpoczęło się śledztwo. Pomimo licznych poszlak policya nie zdołała wpaść na trop zabójcy, ale antysemici odrazu zmiarkowali, iż tkwi w tem ręka Żydów. Przedewszystkiem widziano w miasteczku w kilka dni po zabójstwie nieco więcej tych ludożerców, niż zwykle, powtóre znaleziono pono w synagodze flaszeczkę z krwią ludzką. Czegóż trzeba więcej? Że policya nie wykryła zabójcy, rzecz bardzo prosta. Żyd — wołali antysemici — potrafi się wykręcić, przekupić, zatrzeć ślady, słowem, „Hep-hep“ i „Bij-zabij!“ Wysłani z Berlina na miejsce delegaci zaczęli podburzać „naród,“ a raczej motłoch złodziejów, obieżyświatów, szulerow i innych podejrzanych a wykolejonych osobników, gotowych pod lada pretekstem do rozbijania szyb i kas, rozpruwania pierzyn, niszczenia sprzętów, kaleczenia twarzy itp. Zarządzono śledztwo. Flaszeczka w bóżnicy okazała się najpospolitszym wymysłem. Żydzi uwijający się w mieście byli przejezdnymi kupcami, przybyłymi na jarmark, a jak stwierdzili rzeczoznawcy berlińscy, brak krwi w znalezionych resztkach tłomaczy się okolicznościami dość zwykłemi w historyi kryminalistyki. Po ogłoszeniu tych faktów przez organy urzędowe cała prasa berlińska, z wyjątkiem pisemka antysemickiego i agrarnego, napiętnowała zaburzenia chojnickie jako gwałt barbarzyński, dokonany na niewinnych obywatelach. Wszystkie pisma bez różnicy barwy politycznej wyraziły swój żal z powodu lekkomyślności zacofanego tłumu, oplątanego przez demagogów najbrudniejszej wody.

Jedno z pism konserwatywnych zwróciło się do słynnych oryentalistów i teologów w kwestyi „zbrodni rytualnej.“ Wszystkie odpowiedzi wypadły jednomyślnie w tym duchu, iż cała rzecz jest potwornym przesądem. Chińczycy w swych pismach religijnych oskarżają o to samo chrześcian, katolicy francuscy protestantów, a protestanci angielscy — katolików. Justyn Męczennik i Tertulian musieli bronić chrześcian przeciko takim samym zarzutom ze strony Rzymian. Bezmyślność potwarzy wytknęli papieże Inocenty IV,

Grzegorz X, Paweł III i Klemens XIV. Z teologów katolickich wyśmieli zabobon, pachnący krwią ludzką, Molitor, jezuita Haseldauer, biskup Drafeke, profesorowie Merx, Franciszek Delitzsch, Strack, Nöldecke i inni. Antysemici, osaczeni ze wszystkich stron, potrafili na wszystkie najoczywistsze dowody i wywody odpowiedzieć, iż istnieją z pewnością tajne pisma żydowskie, których krwiożerczy duch wyszedłby na światło dzienne w razie ich przetłomaczenia z inicyatywy rządu. Uczeni zaprotestywali przeciwko tym brednioin. Antisemici nie przestali jednak podszczuwać ludności chojnickiej. Zaburzenia przybrały tak groźny objaw, iż rząd był zmuszonym ogłosić stan oblężenia i ściągnąć tam wojsko. Teraz dopiero antysemici opamiętali się i jęli uspakajać ludność, zapewniając, iż użycie krwi nie jest rozpowszechnionem śród całego żydostwa, lecz prawdopodobnie przechowało się jako tradycya święta tylko wśród kilku rodzin pokolenia Lewitów. Jeden z członków spleśniałej Izby panów nosił się nawet z myślą interpelowania rządu w kwestyi apokryfów, nakazujących rzeź dzieci chrześciańskich, ale gdy koledzy ostrzegli go przed niechybną kompromitacyą, cofnął się. Antysemici za to nie dali za wygraną. Aby godnie uwieńczyć swe dzieło i uratować ludzkość od „intrygi żydowskiej," tutejszy organ antysemicki ogłosił składki na fundusz, który ma umożliwić dowiedzenie Żydom zabójstwa w Chojnicach.

Akademia umiejętności ogłosiła pierwszy tom pism zbiorowych Kanta. Wydawnictwo to posiada — dla Niemiec przynajmniej — doniosłość nietylko faktu historyczno-literackiego. Można bez najmniejszej przesady powiedzieć, iż filozofia niemiecka znajduje się od lat trzydziestu niezmiennie pod znakiem Kanta. Świadczą o tem: pismo poświęcone wyłącznie Kantowi (*Kant-Studien*), setki — wyraźnie setki — prac ukazujących się co roku na temat kwestyj traktowanych przez myśliciela królewieckiego, trojakie kursy w każdej wszechnicy o nieśmiertelnym filozofie, a przedewszystkiem prądy wiejące od niedawna w nauce niemieckiej. Teorya poznania, wstępująca obecnie w stan rozkwitu i ocieniająca konarami swymi nawet inne nauki, czerpie swe soki z Kanta. Etyka, a co dziwniejsza, estetyka, „wraca" do Kanta, pomimo iż, jak zapewniają jego biografie, w przeciągu swego życia nie miał okazyi oglądać porządnego obrazu. Prawnicy i matematycy, teologowie i historycy, a raczej historyozofowie, liczą się z Kantem i zastosowują jego metody. Jako fakt zaś zaiste znamienny, przytoczę, iż „rewizya" dokonywana od kilku lat w zakresie filozofii społecznej obrała sobie za punkt wyjścia autora „Krytyki czystego rozumu." Stammler, Conrad, Schmidt i Bernstein wydali w dziedzinie społecznej to samo hasło „Zurück auf Kant" *), które przed laty trzydziestu z górą rozbrzmiało jak radosna nowina na ówczesnej puszczy filozoficznej. Kuno Fischer, Albert Lange i Otto Liebmann, byli heroldami Neo-Kantyzmu. Gdy jednak filozofia poszła za tem wezwaniem, okazało się, iż Kant przedstawia olbrzymią skarbnicę myśli, której nie sposób odrazu wyczerpać. Wtedy to właśnie wyszło na jaw, iż przedewszystkiem zachodzi potrzeba nowego wydania Kanta, gdyż stare Hartensteinowskie niewiele jest warte. Przed czterema laty przystąpiły z inicyatywy tutejszej Akademii do tego dzieła całe rzesze Kantologów z prof. Diltheyem na czele; tom pierwszy obejmuje na 500 stronicach 320 oryginalnych i spis stu nieodnalezionych listów, stanowiących korespondencyę Kanta dopiero do r. 1788. Metoda wydania jest wzorem nabożnego traktowania relikwij po wielkich duchach. Na to Niemcy są Niemcami!

H. F.

*) Obszerniej o tem patrz świeżą pracę *Vorlandera* „Kant itd."

WYSTAWA PARYSKA.

Paryż, 10 lipca.

Kongres kobiecy.

Pierwszy z kolei międzynarodowy kongres kobiecy nazywał się „Oeuvres et institutions féminines." Prezesem honorowym był b. minister Bourgeois, a w skład komitetu organizacyjnego weszły przeważnie panie, zajmujące się filantropią, którą nazwaćby można świecką lub protestancką dla odróżnienia od filantropii uprawnionej przy współudziale, a raczej pod kierownictwem duchowieństwa katolickiego przez damy z arystokracyi. Pozwalamy sobie na takie określenie, ono bowiem zaraz nam objaśni, dlaczego żadna analogiczna instytucya katolicka nie miała przedstawicielek na owym kongresie. Nosił on też w mowie potocznej miano protestanckiego i z tej racyi przyciągnął tych wszystkich, którzy mniej lub więcej wrogo usposobieni przeciw klerykalizmowi spodziewali się tam znaleźć pewną wolnomyślność. Zgromadził on nader liczne grono zarówno Francuzek, jak i cudzoziemek, pomiędzy któremi nie brak było i delegatek urzędowych.

Program obrad nakreślono szeroki i referatów zapowiedziano 230, łatwo więc stąd wywnioskować, że żadna kwestya ani rozpatrzoną, ani przedyskutowaną być nie mogła. Według z góry powziętego planu, członkowie kongresu mieli się podzielić na sekcye następujące: I) Filantropia i ekonomia społeczna: II) Prawodawstwo i moralność; III) Pedagogika indywidualna i społeczna: IV) Praca kobiet: V) Literatura, nauka i sztuka. Sekcye te miały wysłuchać na posiedzeniu rannem pewną ilość referatów i po odpowiedniej dyskusyi przedstawić wnioski do głosowania na posiedzeniu ogólnem popołudniowem. Stało się jednak inaczej. Na posiedzenia sekcyjne uczęszczało mało osób, nie sposób było odczytać ani połowy referatów, gdy więc głód w porze śniadaniowej zaczął dokuczać, formułowano wnioski i bez dyskusyi jak najspieszniej głosowano. Na posiedzenia ogólne przybywało kilkaset osób i znowu nie można było zastosować się do porządku dziennego; referaty odczytywano przy ustawicznem napędzaniu przewodniczącej do skracania, sekcye przedstawiały swe wnioski, nad ktorymi wszczynała się dyskusya, urywana stale w imię... braku czasu. W ogromnej sali Palais des Congres głos referentek, nienawykłych po większej części do wystąpień publicznych, ginął, a większość najczęściej nie rozumiała wniosku. Do dyskusyi starano się dopuścić jak najmniej osób, a nieraz pozbawiano prawa głosu pod pozorem, że oponentka odchodzi od przedmiotu, lub że przekracza program; następowało wreszcie głosowanie, którego pośpiech nie daje się wprost opisać. Doznawaliśmy wrażenia podobnego, jakie uczuwa pasażer pociągu pospiesznego, gdy wysiadłszy na krótkim przystanku, połyka gorącą strawę, drżąc z obawy, że lada chwila lokomotywa świśnie i niefortunnego podróżnika zostawi.

Naturalnym wynikiem tego niedorzecznego systemu było, że zebrane z różnych stron świata kobiety ani wymienić zdań ze sobą nie mogły, ani rozjaśnić sobie różnych kwestyj spornych, ani obeznać się z zadaniami i dążeniami kobiet w dobie obecnej. Z jednej więc strony kobiety nieuświadomione niczego się nie nauczyły, z drugiej zaś — głosowanie było istną szopką.

W liczbie referatów było niewątpliwie niemało dobrych i pouczających, ale utonęły one wśród powodzi bezbarwnych i płytkich.

Pierwsze posiedzenie zeszło na wyborach według listy z góry przez komitet ułożonej i zebraniu narzuconej. Tak więc honorowemi przewodniczącemi zostały panie: Simon, wdowa po Jul. Simonie; Bagelot, założycielka stowarzyszenia opieki nad kobietami wychodzącemi z więzienia Saint-Lazare, oraz Amerykanka May Wright Sewall, przewodnicząca Rady międzynarodowej kobiecej. Na przewodniczącą rzeczywistą powołano sędziwą pannę Sarę Monad, przewodniczącą Zgromadzenia dyakonis, niestrudzoną działaczkę na polu filantropii; na sekretarkę zaś panią Pégard.

W zastępstwie nieobecnego prezesa honorowego, L. Bourgeois, wygłosił przemowę L. Mabilleau, stojący na czele Musée social, owej znanej skądinąd czytelnikom naszym instytucyi. Mabilleau wyznał szczerze, że dotychczas Muzeum społeczne nie interesowało się kwestyami kobiecemi, ale na przyszłość utworzony zostanie odpowiedni dział. Następnie zalecał rozwagę i roztropność w żądaniach, co już było przestrogą całkiem zbyteczną wobec tego, że komitet organizacyjny wyraźnie zakreślił program, niedający sposobności do stawiania jakichś śmielszych żądań.

Po nim zabrała głos panna Monad, zaznaczając, że właśnie umiarkowanie w programach i roztropność zjednały im tak wielką ilość zwolenniczek. Następnie pani Bagelot poświęciła swe przemówienie apologii zmarłej przed kilku laty Emilii Morsier, organizatorki pierwszego urzędowego kongresu kobiecego w r. 1889, oraz powitała delegatki cudzoziemki. Wreszcie te ostatnie odpowiadały: panie: Semeczin (Rosya), Stritt (Niemcy), Meyer (Dania), Platten (Szwecya), Vidar (Szwajcarya), Popelin (Belgia), Van Reenen Walter (Holandya), Neuwied (Węgry) i Tyng (Stany Zjednoczone).

W sekcyi I *(filantropia i ekonomia społeczna)* z pośród wielkiej ilości referatów (70) jedne zawierały sprawozdania z organizacyi i działalności różnych instytucyj, takich, jak żłobki, ochrony, przytułki, opieka nad ubogą dziatwą szkolną, nad młodemi pracownicami wogóle, domy zarobkowe, kolonie poprawcze, opieka nad kobietami osadzonemi w więzieniu, walka przeciw alkoholizmowi, wreszcie działalność kobiet w kierunku pojednania klas społeczeństwa.

W sprawie żłobków (creches) pani Dussaud żądała, aby przyjmowanie niemowląt było poniekąd utrudnione, zależnie od tego, czy matka ze względu na moralność osobistą zasługuje na taką pomoc. Wniosek ten oburzył pewną część kongresistek, które nie chciały czynić dziecka odpowiedzialnem za winę matki.

Wnioski odnośnie do domów zarobkowych zawierały także jeden punkt, który nie uniknął dyskusyi, a mianowicie referent Defert zauważył, że instytucye te jako dobroczynne dają w zamian za pracę wykonaną zapomogę a nie zapłatę (des secours et non des salaires). Otóż przeciw takiemu określeniu znalazła się również opozycya, która nie chciała dopuścić, aby instytucye dobroczynne, odnosząc korzyści z pracy, mogły jeszcze upokarzać zapomogą, a więc jałmużną. Żądanie było tak kategorycznie postawione, że ostatecznie wyraz „secours" musiano zastąpić przez „rémuneration," dając tem niby pozór ustępstwa. Delegatka paryskiego syndykatu pracownic igły postawiła dalej idący wniosek: zniesienia domów zarobkowych, ale nad tym, jako zbyt redykalnym, nie zastanawiano się wcale. Wreszcie wnioski dotyczące kolonij poprawczych i opieki nad kobietami uwięzionemi dostarczyły ciekawego materyału do dyskusyi. Sędzia

śledczy, Albanel, adwokaci Rollet i Bonzon żądali reformy przepisów kodeksu karnego względem maloletnich oraz reorganizacyi domów poprawczych z więzienia na szkolę. Prof. Duchowskoj z Moskwy, Wieselgreen, dyrektor zarządu więzień w Szwecyi, pani Vidar ze Szwajcaryi, opowiedzieli, co uczyniono w tym kierunku w ich krajach.

Wreszcie w sprawie kobiet aresztowanych uchwalono: 1) aby więzienia i areszty przeznaczone dla kobiet miały kobiecy zarząd, dozór, obsługę i pomoc lekarską: 2) aby więzienia te były urządzane systemem celkowym: 3) aby dzieci kobiet uwięzionych pomieszczone były w przytułkach i żłobkach; 4) aby kara względem kobiet po raz pierwszy aresztowanych była odroczoną do drugiego przestępstwa popełnionego.

O walce z alkoholizmem zdawała sprawę doktorowa Legrain, założycielka Ligi paryskiej; przedstawiły również sprawozdania Liga szwajcarska i Towarzystwo wstrzemięźliwości w Szwecyi.

O instytucyach dobroczynnych innych krajów mieliśmy referat panny Parren z Grecyi, pań Retzius i Platten ze Szwecyi, oraz pani Mitrofanow o zakładach dobroczynnych warszawskich.

(D. n.).

Iza Zielińska.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Na ulicy i — w salonie.

(Przyczynek do historyi naturalnej pewnego wrzodu społecznego).

Przed tygodniem dzienniki rozniosły po mieście wieść, że przy ul. Freta w biały dzień popełnione zostało zabójstwo na osobie młodej dziewczyny. Wietrzono jakiś dramat miłosny. Nic z tego. Dziś romantyzm wyszedł z mody. *On* był zwyczajnym łotrem miejskim, od lat najmłodszych odwykłym od pracy, żyjącym z dochodów miłosnych „małżonki.“ *Ona* dzieckiem *dwunastoletniem* dostała się w ręce kochanka, początkowo służąc jemu wyłącznie za źródło rozkoszy brutalnych, następnie i za źródło utrzymania. Był on bowiem *sutenerem*, przedstawicielem zupełnie nowoczesnego stanu cywilnego, nieuwzględnianego dotychczas ani przez statystykę miejską, ani przez klasyfikacyę administracyi. Po pięciu latach frymarki haniebnej, opluta, odarta z godności — uciekła od niego: może obudziła się w niej kobieta, może zakwitł w niej pierwiosnek czystego uczucia, może ocknęła się. Opuściła go. Otello nie mógł zrozumieć, co zaszło. „Więc nie będę już miał wygód, monopolowych smakołyków, miękkiego łoża, taniej miłości; nie będę miał kogo rozbijać, zmuszać do pokory, do błagalnej modlitwy o przebaczenie i miłosierdzie? A może ona... na kogo innego poszła pracować? Niegodna!“ I otóż w pewne skwarne, lipcowe południe z najobojętniejszą pod słońcem miną, wobec ulicy, sklepikarzy, kumoszek, przedstawicieli porządku publicznego, zasztyletował ją. Przy dochodzeniu śledczem badany, dlaczego zbrodnię popełnił, umiał tylko powiedzieć: „uciekła“ i dziwił się, że to powód niewystarczający.

Nikły ten, w porównaniu z awanturą chińską, albo chociażby obrotami totalizatora fakt, utonął już w trzęsawisku naszej prasy. Nanowo wypłynie, kiedy staromiejski Otello powołany będzie przed krzesło sędziowskie. Wtedy młodzi adwokaci zaleją nas potokami argumentów: znowu i znowu opowiedzą nam o niepoczytalności i nieodpowiedzialności, usłyszymy kilka stron z podręczników psychiatrycznych, kilka pikantnych anegdot Lombrosa. Zapewne mieć będą racyę; i sędziowie, którzy zbrodniarza wbrew wszelkim przez nich powołanym wskazaniom nauki *ścisłej* w dyby zakują, w wewnętrznym swojem przekonaniu postąpią sprawiedliwie, mądrze i pięknie; i zbrodniarz też w promedytowanej swej zbrodni był z sobą w porządku. Wszystko ma bowiem swoje żelazne, zdeterminowane przyczyny, wszystko dzieje się wedle odwiecznych spiżowych praw niezłomnych. *Alles was ist, ist vernünftig* — jak uczył nas Hegel.

Wszystko te ze stanowiska formalnego bezsprzecznie dobrze zbudowane komunały cierpią na jeden zasadniczy błąd. Ułożone gwoli pożytku nie jednej tylko grupy ludzkiej, zahaczające to tu, to tam o interes społeczny — wyrzuciły one za nawias „społeczeństwo.“ A wobec majestatu społeczeństwa odstępują na plan dalszy i bardzo daleki geometryczne figury kodeksów karnych, administracyjne podziałki oderwane, po drodze najmniejszego oporu—wykreślane, antropologiczne, deterministyczne formułki. Uderzmy się w piersi, my mądrzy, uczeni, syci; ileż to razy w życiu przechodzimy wobec nikczemności z uśmiechem pobłażania i litości na ustach?.. Ileż razy zamiast ciskać pioruny Savanaroli, spowijamy siebie w mgłę obojętności i *je m'en fiche*'izmu? Niedawno zgłosił się do nas pewien przedstawiciel t. z. dobrego towarzystwa ze skargą na upadek moralny swojej sfery. Przed laty dziesięciu w pewnej okolicy naszego kraju zaszedł dziwny, jak na nasze czasy słabych ludzi wypadek. Oto młody szlachcic, jak gdyby za dobrych saskich ostatków, dokonał gwałtu na osobie dziewczyny wiejskiej, która nie chciała uledz zalotom uwodziciela: w towarzystwie dwu podwładnych sobie ekonomów ścigał ją po polu, a dopadłszy, przy pomocy towarzyszy bohaterski swój czyn spełnił. Sąd nakazał wieloletnią pokutę... w ciężkich robotach Ałtaju. Dziś ów Sinobrody wrócił. Zapomniano mu wszystkie grzechy. Powrócił, jeżeli nie do praw stanu, to do łaski swojej klasy. Jest, jak dawniej, wodzirejem salonów, bawidamkiem rautów, po cichu śnią podobno o jego wspaniałym geście Herkulesa młode *demivierges* pewnych koteryj towarzyskich... Nasz gość załamał ręce. *Quousque tandem?* Czy to nie brzeg przepaści? Dno nędzy?..

A więc nie mówmy zbyt mało o rozpasaniu warszawskiej nędzy moralnej, która często, niestety, jest jednocześnie i nędzą materyalną. Mówmy częściej i więcej o zarazie moralnej, jaka wżarła się w dusze innych jeszcze, nie bosych, lecz w żółte obutych trzewiki, sutenerach, owych wytwornie ubranych stałych abonentów dorożek dwukonnych i pierwszych miejsc w teatrach, protektorów sztuki, o których ci i owi to i owo sobie na ucho szepczą, prowadząc rodowód bogatej uprzęży tych szykownych samców od pełnych sakiewek różnorakich Messalin. Ale nie mówmy tylko. Tu nie o drobne tylko nagniotki chodzi, te łatwo usunąć. Tu o godność i dostojeństwo *społeczeństwa* chodzi. Czyńmy poprawę. A droga daleka, ciernista i błędna. Co krok, ostry kamień rani zmęczoną nogę wędrowca. Nie lękajmy się żadnych środków. Pamiętajmy na wielkie słowa Hipokratesa: quod non medicamentum sanat, ferrum sanat, quod non ferrum, ignis sanat. O gdyby przemówił do tych zatrutych dusz bezlitośny głos Sawanaroli!

Jeszcze raz kąpiele ludowe.

(Negatywy działalności społecznej).

W d. 14 lipca odbyło się w mieszkaniu prof. Baranowskiego i pod jego przewodnictwem roczne posiedzenie komitetu kąpieli ludowych. Po tem, cośmy przed kilku tygodniami na tem miejscu pisali, powinien czytelnik wiedzieć, że był to oczywiście, spopularyzowany przez naszą humorystykę „roczny omłót pustej słomy.“ Za wpływem p. Baranowskiego zbudowano w kilku fabrykach łaźnie (do których robotnicy uczęszczać nie chcą!), pan Tchórznicki zaprojektował zorganizowanie kółka pań „opiekunek kąpieli ludowych,“ projekt ten wniesiono do protokołu; odleży się; z czasem będziemy mieli i kąpiele pobożne. Dowiedzieliśmy się następnie, że koszt kąpieli ludowych na Pradze wyniesie 29 tys. rubli. Następnie ks. Chełmicki w asystencyi p. dr. med. Tchórznickiego i mecenasa Rotwanda, natchniony prawdziwie według stylizacyi hr. Przeździeckiego „chrześciańską“ miłością bliźniego, wniósł projekt podniesienia ceny kąpieli ludowych z 3 na 5 kop. Koszt faktyczny kąpieli ma bowiem wynosić $3\frac{1}{2}$ kop., i ostateczne założyciele musieli zdobyć się na dopłaty do zamierzenia budżetowego. *Heu me miserum!* Przeciwko wnioskowi powodowani względami etycznymi (*vide* pan Przeździecki) przemawiali pp. Natanson i Sokal, dowodząc, że kąpiele powinny być jaknajtańsze. Nie wiedzieliśmy, że w komitecie kąpieli ludowych trzeba aż dowodzić, że koło nie jest kwadratowe; nie koniec atoli na tem: po ożywionych debatach, przyjmując między innemi pod uwagę, że „nie należy współzawodniczyć z zakładami prywatnymi, które są zniechęcone i mogą ograniczyć swą działalność, co nie jest pożądanem...“ wydział postanowił większością głosów podnieść cenę kąpieli do wysokości 5 kop. Słyszeliśmy coś niecoś o zasadach polityki społecznej i widzieliśmy nawet różne urządzenia kąpielowe za granicą; przeczytaliśmy kilka mniej lub więcej poważnych prac w kwestyi kąpieli ludowych — o czemś jednak podobnem nie słyszeliśmy, aby instytucya społeczna liczyła się ze zdaniem przedsiębiorców prywatnych, którzy rządzą się nie potrzebą społeczną, jeno zyskiem osobistym. Nie słyszeliśmy dotychczas bynajmniej, aby cena kąpieli w zakładach prywatnych spadła, albo żeby urządzenia te zaprowadziły u siebie zmiany na lepsze pod wpływem konkurencyi kąpieli ludowych. Ceny te, jak dawniej wynoszą 40—50 albo i więcej kop. za bilet; łazienki są niezmiernie brudne, ordynarne, wstrętne. Nie umiem sobie wcale wyobrazić człowieka, który płacił dotychczas za kąpiel $\frac{1}{2}$ rubla, a który gwoli oszczędności uda się na Plac Broni albo na Pragę do kąpieli ludowej. Słowem, cały rachunek wydaje nam się zupełnie bezpodstawnym pod względem logicznym. Ale tu nietylko o logikę chodzi. Poród kąpieli ludowych trwa już kilkanaście, jeżeli nie więcej, lat. Organizując je, atakowano instynkty altruistyczne naszego społeczeństwa. Zapisano całe folianty panegiryków na cześć dobroczyńców. A teraz, gdy już wreszcie zaczynamy budować i kąpać, panowie z wydziału popełniają czyn w najwyższym stopniu niespołeczny. Cóż to ma znaczyć? Mniemamy, że to tylko chwilowe nieporozumienie. W przeciwnym razie gorąco zaprotestujemy przeciwko takiej polityce społecznej. Tu bowiem nietylko o filantropię chodzi. Interesy społeczne, interesy ubogich a licznych mas ludowych budowane być muszą nietylko na sakiewkach, ale na sercach. A gdy o tych ostatnich mowa, tedy głos i do nas, do nas przedewszystkiem należy. Jeśli jakąkolwiek racyę bytu mamy, to tę przedewszystkiem. I dlatego, musicie być, panowie, pewni: nie schowamy pod sukno formalistyki biurowej naszych mandatów!

BADANIA NAUKOWE.

Z PRZESZŁOŚCI PRZEDHISTORYCZNEJ.

II.

Rasy a klimaty. — Pozorna zbieżność rasy czarnej i białej. — Krótkogłowiec europejski i żółtoskóry Azyata, oraz wzajemny ich stosunek. — Przeszłość krótkogłowców w Europie. — Trudności i zagadki. — Grobowce neolityczne i czego dać one nie mogą.

Jeżeli badamy pewną grupę osób, przeniesionych do innego klimatu, to okaże się, iż dobór oszczędza z pośród nich przedewszystkiem te okazy, które najbardziej zbliżają się do tuziemców swemi właściwościami konstytucyjnemi, umożliwiającemi im przystosowanie się do nowego klimatu. Wychodząc z tych faktów, możemy z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że jeżeli w pewnym punkcie globu zetknie się z sobą parę ras, to z każdej z nich, po pewnej liczbie pokoleń, pozostaną tylko te jednostki, które przedstawiają określony charakter konstytucyjny, taki mianowicie, jakiego wymaga dane otoczenie. Z pośród pewnej liczby ras, zgoła niepokrewnych nawzajem, może tam, z biegiem czasu, powstać rasa miejscowa, z pozoru jednolita, chociaż jednolitość ta polega na wspólnem posiadaniu niektórych tylko cech, ukrywającem istotne różnice. Właśnie barwa skóry przedstawia taką znamienną właściwość, za której pośrednictwem rasy wchodzą w harmonię ze swojem otoczeniem. Przestrzeń skóry brunatnej i żółtej zlewa się dość prawidłowo ze strefą suchą, która zaczyna się w Saharze i kończy się pustynią Gobi. Obszar czarnoskóry odpowiada klimatowi zarazem znojnemu i wilgotnemu — w Saharze i Arabii upały są większe, ale atmosfera nie zawiera w sobie dostatecznej wilgoci. W krajach gorących, ale nie tak wilgotnych, barwa staje się oliwkową. W okolicach chłodnych i jednocześnie wilgotnych końcowej północy cera jest ciemniejsza, niż w umiarkowanym pasie Europy. Barwa skóry każdorazowo jest odpowiedzią, udzieloną przez organizm na wpływy klimatu; w jaki sposób i dlaczego zabezpiecza go od szkodliwych oddziaływań otoczenia klimatycznego, wyjaśnić tego w dzisiejszym stanie wiedzy nie umiemy, acz wiemy, że spełnia to zadanie. Okoliczności te sprawiły, iż rasy z różną budową czaszki, prawdopodobnie co do pochodzenia swego wcale niepokrewne, znalazłszy się w obrębie takich obszarów klimatycznych, otrzymały tę samą barwę. Powstała „rasa czarna“ Afryki, „biała“ Europy, chociaż w gruncie rzeczy każda z nich rodowodowo wyszła z paru pniów i tylko warunki klimatyczne stworzyły pomiędzy niemi pozorną zbieżność. Niewykluczonem jest nawet, że ta sama rasa pierwotna przybrała w Afryce barwę ciemną, w Europie zaś białą. Antropologia dąży do wyodrębnienia z pośród tych pozornych jedności, owocu zbliżania się zbieżnego, odbywającego się pod wpływem klimatu, zasadniczych pierwiastków składowych. Spodziewa się ona dosięgnąć tego przez antropologiczną analizę istniejącego zmieszania. Z drugiej strony zwraca się ona do studyów nad czaszkami i wogóle częściami kopalnemi szkieletu, ażeby wykryć wzajemny stosunek owych pierwiastków w przeszłości. W tym ostatnim przypadku ma ona przed sobą do zwalczenia trudności, nieraz bardzo znaczne. Póki bowiem chodzi o analizę typów faktycznie istniejącego zmieszania, póty postępy badanej gałęzi nauk zależą jedynie od skrzętności i rozległości poszukiwań, materyału bowiem nigdy nie zbraknie, byleby istnieli chętni pracownicy. Inaczej rzeczy stoją w zakresie paletnologii, tj. antropologii kopalnej. Ilość materyału jest szczupła, a nieuctwo archeologów nieraz oburzające: poszukując siekierki lub sprzączki, po barbarzyńsku obchodzą się oni z osteologicznemi szczątkami, które pozostały po wiekach ubiegłych i nieraz stanowią może jedyne świadectwo o ludach, które ongi przebywały w danej okolicy. Z całą słusznością Lapouge zaznacza, iż gatunek archeologów jest tak samo niebezpieczny dla postępów antropologii kopalnej, jak przedsiębiorców fosfatu.

Z temi danemi zwrócimy się do Europy przedhistorycznej.

Dawna antropologia zaludniała ją przedstawicielami rasy białej, obecna, jak wiemy, zaznacza, iż biała barwa skóry przedstawia nabytek późniejszy, który, jako ostateczne ogniwo rozwoju miejscowego wśród ras pierwiastkowo odmiennych i co do swej cery, ujednostajnił je wszystkie. Powtóre, łączność Europy z Azyą w okresach przedhistorycznych była bardzo ograniczoną, a ślady wpływów mongolskich, o ile je znajdujemy w naszej części świata, datują się względnie od bardzo późnej epoki. Nasze badania wykazały, że wśród krótkogłowców Europy niema domieszki azyatyckiej, i zadały cios dawniejszym „mongolskim“ teoryom rodowodów brachycefalizmu europejskiego. „Podczas swoich poszukiwań antropologicznych nad 3,440 Tyrolczykami brachycefalicznymi — pisze Tappeiner — nie znalazłem ani jednego człowieka, któryby posiadał charakterystyczne rysy rasy mongolskiej. Wobec tego niewątpliwym jest i dalszy wniosek, mianowicie, iż wszystkie krótkogłowe czaszki europejskie są zasadniczo różne od mongolskich i że krótkogłowcy europejscy nie mogą być potomkami Mongołów, oraz iż przedhistoryczna wędrówka tych ostatnich do Europy jest fałszywą hipotezą.“ Zaznaczmy, iż w ostatnich czasach zakwestyonowano nawet samą krótkogłowość Azyatów mongolskich. „Rasa żółta“ wogóle liczy około 700 milionów przedstawicieli. Z pośród niej te ludy, których wyznacznik szerokości czaszkowej posiada wartość wyższą, niż u krótkogłowców europejskich, są zazwyczaj bardzo małoludne. Są to Mandżurzy, Uzbeki, Kirgizi, Kałmucy, w ogólnej sumie zaledwie parę, najwyżej kilka milionów głów! A tymczasem studya nad Chińczykami dały dla wyznacznika szerokości czaszkowej cyfrę 81,7, niższą od przeciętnej wartości jego dla Francyi, Niemiec, Austryi, Włoch, Rosyi. Żółtoskórzy syberyjscy, gorale Pamiru itd. posiadają jeszcze niższy wyznacznik, tj. dłuższą budowę czaszki. Lapouge gotów widzieć w tych względnie długogłowych żywiołach rdzeń rasy żółtoskórej, krótkogłowość zaś Kirgizów i paru innych ludów objaśnia skrzyżowaniem czystego Azyaty z przedstawicielem hypotetycznej rasy *homo Acrogonus*, która zmieszawszy się z rasami europejskiemi, dała i na naszym lądzie początek krótkogłowcom.

Tutaj winniśmy zaznaczyć i inny, bardzo charakterystyczny punkt:

Uważano dotychczas pochodzenie krótkogłowców za kwestyę mniej złożoną w porównaniu z rodowodem długogłowców. Zapatrywania te zmieniły się w ostatnich czasach doszczętnie. Antropologowie jako tako zdołali powiązać z sobą różne odłamy długogłowców, a tymczasem, co do początku krótkogłowców, przyznają, że rzecz jeszcze jest tak mało zbadaną, iż nie może być nawet mowy o jakiejkolwiek próbie, któraby ogarnęła ogół faktów. Mortillet, Popinard i in. wyprowadzali krótkogłowców z Azyi. Mieli oni przybyć stamtąd, przynosząc krzemień gładzony, znajomość hodowli zwierząt i uprawy zbóż, słowem cywilizacyę, na której dotychczas zbywało naszej części świata. Hypotezę tę można uważać dzisiaj za zupełnie przebrzmiałą. W śmietniskach kuchennych Danii i innych miejscach znaleziono dowody istnienia krótkogłowców w Europie przed epoką gładzonego kamienia, a więc nie oni to wprowadzili do naszej części świata umiejętność polerowania narzędzi. Pokłady kopalne w Pirenejach już o wiele wcześniej przed okresem neolitycznym świadczą o uprawie wielu drzew owocowych, które wyprowadzano z Azyi dotychczas. Zwierzęta, hodowane w epoce kamienia gładzonego, należą do gatunków afrykańskich. Innemi słowy, pierwociny cywilizacyi europejskiej wykazują liczne punkty zetknięcia z Afryką północną, żadnych — z Azyą. Nadto nie mamy najmniejszych danych przypuszczać wędrówkę żywiołów rolniczych krótkogłowych ze wschodu. Wogóle, są dane, pozwalające mniemać, iż krótkogłowiec istniał w Europie od początku epoki pleistoceenicznej, rozproszony może po całej jej ówczesnej przestrzeni i wcielony w parę odrębnych ras. Ale trudno wyznaczyć jego ogniska, oraz stosunek ilościowy do innych typów antropologicznych, zamieszkujących wtedy naszą część świata. Obraz odrazu się zmienia w końcu okresu kamienia gładzonego. W Belgii, Anglii, Włoszech, Polsce, Rosyi południowej pojawiają się jakby znienacka a tłumnie różne odmiany krótkogłowców, wychodzące z obszarów Europy środkowej, pasm górskich, które i dzisiaj są ich głównem siedliskiem. Skąd tam się wzięły? Czy może spędzone zostały z gór przez lodowce, tam w otoczeniu górskiem powstawszy? Czy zawędrowały tam z Armenii i Azyi Mniejszej, gdzie i dziś stanowią główną masę zaludnienia? Czy może istnieją jakieś luki w naszych wiadomościach, które przypuszczają możliwość jeszcze innej odpowiedzi? Są to pytania, na które nie mamy żadnej odpowiedzi. Co do ówczesnej swej liczebności, są bardzo rzadcy i w okolicach, gdzie dzisiaj istnieją wyłącznie, nadaremnie poszukiwalibyśmy ich śladów, nawet w epoce tłumnego napływu. „Czy jednak pozory te odpowiadają rzeczywistości? — pyta Lapouge. Jakim sposobem krótkogłowcy tak wzrośli w liczbę, gdzie wcale nie istnieli, ani dokąd nie wywędrowali?“ Oświadczywszy, że grobowce przedhistoryczne stale zawierają szczątki wodzów i wogóle starszyzny, wnioskuje, że „było rzeczą możliwą istnienie licznej ludności krótkogłowej, żyjącej dokoła tych wodzów od początku epoki kamienia gładzonego. Jest również możliwem, iż ci krótkogłowcy przebywali w lasach i w górach w stanie prawie małpim i byli wyciągani ze swoich schronień tylko po to, ażeby dostarczać niewolników długogłowcom.“ Co do nas, doszliśmy do wniosku, iż na zaraniu dziejowem w kraju naszym istniały ludy krótkogłowe, hołdujące obrządkowi całopalnemu i dlatego niepozostawiające śladów, wówczas gdy grupy długogłowe grzebały trupa, a istniały one jako oazy wśród przestrzeni krótkogłowej, biorąc żony z pośród otaczających rolników brachycefalicznych. Możliwem jest to przy przypuszczeniu, iż długogłowcy byli koczownikami, rozproszonymi wśród rolników, jak Arabi dzisiaj pomiędzy ludami murzyńskimi. Mniejsza zresztą na razie o stosunek wzajemny obu zasadniczych typów, natomiast donioślejsze znaczenie posiada inna okoliczność, a mianowicie, że już na zaraniu dziejowem przedstawiają parę odmian. Wśród niej mamy krótkogłowca północnego, laponokształtnego, którego ślady odnajdujemy w dolmenach i grobowcach Danii, Szwecyi, Rosyi; rasę Borreby, pojawiającą się w końcu epoki neolitycznej w W. Brytanii i Danii; rasę Furfoor; krótkogłowca alpejskiego. Ta rozmaitość świadczy o wielu niezależnych ogniskach krótkogłowości w Europie. Lapouge przypuszcza, iż wiele

z pośród tych ras stanowią rezultat skrzyżowania innych typów, długogłowych, z pewną ultra-krótkogłową odmianą hypotetyczną, której nadaje nazwę *hominis Acrogoni*. Typu tego nie znamy w czystej formie, lecz ujawnia on swoją obecność wśród Alpejczyków, krótkogłowych żółtoskórców itd. Notujemy tę hypotezę, która nie jest nieprawdopodobną. O ile zaś jest rzetelną, na to jedynie mogą fakty odpowiedzieć.

Dzieje krótkogłowców w Europie są pogrążone w mgle niewiadomości. Postęp antropologii w ostatniem dziesięcioleciu polega na rozbiciu dawnych przypuszczeń, a więc na oczyszczeniu gruntu dla dalszych pracowników — w zakresie historyi bracefalizmu. Grobowce europejskie dostarczają wskazówek przedewszystkiem co do długogłowych blondynów, o ile rozpatrujemy czasy neolityczne. W pewnych krajach występują oni w czystej formie, w innych — z domieszkami. Ale rozpatrując te szczątki kopalne, trzeba zawsze pamiętać o tem, że nie dają one należytego pojęcia o stosunkach ówczesnych. „Dane, otrzymane z grobowców neolitycznych, nie odtwarzają w sposób dokładny stosunku ilościowego ras. Uważne badanie mogił pozwala wnioskować, że czaszki i inne kości należą prawie wyłącznie do wodzów lub rodzin wpływowych i prawie zawsze przedstawiają blondyna z wyjątkiem przypadków skrzyżowania z różnemi innemi rasami, zajmującemi niższe stanowisko rasowe. W rzeczy samej, grobowce te dostarczają nam bardzo rzadko typowych członków innej rasy. Okazy zaś, które nie należą do tej rasy, są zwykle albo kobietami, pochodzącemi z warstw niższych, albo z pośród dzikich ras, zamieszkałych w pobliżu cywilizacyi aryjskiej, albo mieszańcami, spłodzonymi z takich związków, albo wreszcie pospolitymi niewolnikami, zaduszonymi po to, ażeby towarzyszyli panom swoim na tamten świat. Przedstawiciele zaś, prawdopodobnie liczniejsi, niż mniemamy, tych niewolników obcej rasy i dzikich żyjących na krawędziach względnej cywilizacyi aryjskiej, zdaje się praktykowali sposoby grzebania, nieodpowiednie dla przechowania ich szczątków do dnia dzisiejszego." Niektóre z tych wywodów musimy zakwestyonować, ale co do niedokładnego obrazu, jaki dają nam szczątki kopalne, zupełnie przystajemy na zdanie Lapouge'a.

Przedstawiwszy przeszłość żywiołu krótkogłowego w Europie, zwrócimy się do historyi blondynów, niewątpliwie pierwiastku najruchliwszego w dziejach naszej części świata. Na zakończenie winniśmy wskazać jeszcze jedną trudność co do rodowodów krótkogłowca. Odmiany małp człekokształtnych, żyjących i kopalnych; wszystkie są długogłowe. Krótkogłowiec powstał już wśród rodu ludzkiego. Ale klimat, który tłomaczy zmiany, zachodzące w barwie, jest bezsilny, gdy chodzi o wyjaśnienie kształtów czaszki. I znowu po za zaznaczeniu nowej trudności pójść dalej nie możemy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

—✦—

Kazimierz Przerwa - Tetmajer: *Otchłań*, fantazya psychologiczna. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. Rok 1900, str. 184.

Jednocześnie prawie z czwartą seryą poezyi ukazała się „fantazya psychologiczna" Tetmajera p. t. „Otchłań." Nowe dzieło twórcy „Anioła śmierci" należy do literatury powieściowej, lecz autor, trzymając się ulubionej metody młodszych beletrystów naszych, odrzuca w niem wszelki balast zbyteczny, pozbywa się prawie zupełnie tak rozpowszechnionego i tak nieznośnego czasem u powieściopisarzy starszych gadulstwa i, kilku ledwie dostrzegalnymi rysami zaznaczywszy w toku analizy psychologicznej tło utworu, przystępuje odrazu do jego treści zasadniczej, do odtworzenia z możliwą subtelnością i drobiazgowością strasznej katastrofy wewnętrznej w duszy głównego bohatera.

Rzecz jest ciekawa i wartościowa, a głębokością niektórych spostrzeżeń wysuwa się na czoło dotychczasowej twórczości beletrystycznej głośnego dziś poety. Niemniej jednak wydaje mi się, że autor nie odrazu trafił w swej „fantazyi" na ton właściwy i na pierwszych zwłaszcza stronicach nie zdołał uniknąć pewnej paradoksalności i zbyt szumnej, a nie malującej wcale istoty rzeczy — frazeologii.

Aby związać „Otchłań" Tetmajera z wątkiem jego znanego „Anioła śmierci" (utwory te znajdują się, zdaniem naszem, w pewnem pokrewieństwie wewnętrznem), wyobraźmy sobie, że bohater pierwszego romansu, genialny rzeźbiarz Rdzawicz, dopina wymarzonego celu, żeni się z Marynią Tyżwiecką, ale, zmuszony zniżyć lot do wymagań szarego życia, bierze rozbrat ze sztuką i wszystkiemi marzeniami swej górnej i chmurnej młodości i staje się przeciętnym zjadaczem chleba, wprzęgniętym do pierwszego lepszego zarobkowego kieratu, mogącego zapewnić z czasem byt spokojny i dwa tysiące guldenów rocznej pensyi... Coby się stało z jego orlą naturą w nowych warunkach życia? W jaki sposób reagowałby ten artysta z bożej łaski na przygniatające go do ziemi jarzmo i jakich zwłaszcza doznałby uczuć, gdyby się przekonał, że jego ukochana nad wszystko Marynia budzi się nagle do nowego, lepszego życia duchowego pod wpływem innego człowieka, będącego niejako uosobieniem i wcieleniem tego cudnego świata, z którym on, Rdzawicz, zerwał dla niej właśnie, który dla niej zdeptał i porzucił bezpowrotnie?

Analogia jednak da się tu przeprowadzić do pewnych granic tylko, bo zarówno bohater „Otchłani," w którego imieniu przemawia do nas w swym utworze poeta, jak zwłaszcza jego nowa bohaterka — Marynia również — są istotami, przerastającemi pod względem moralnym główne postaci „Anioła śmierci," a łódź ich życia rozbija się o fale inne. Lecz pominąwszy nawet mętne nieco, a wielosłowne omówienia o „gwiazdach dobrej wieści," „wspólnych ofiarach," „usługach społecznych" i „zasługach około idei"; zapomniawszy o łamigłówce owej, którą na wstępie zaraz podaje nam bohater utworu, nie mogący ani żyć z ukochaną, ani obejść się bez niej, i ryzykownie trochę, a uparcie porównywujący swe położenie z losem tkacza, „który nie ma majątku, który utrzymuje swoją rodzinę i który ślepnie"; pominąwszy — mówię — to wszystko, możemy sobie wytworzyć aż nadto dokładne pojęcie o stanie wewnętrznym zajmującej nas głównie postaci w pierwszej fazie jej rozwoju w powieści z tej wymownej i przejmującej skargi, która się z duszy byłego działacza społecznego na początku zaraz wydziera:

„Zostałem mężem mało posażnej panny i poszedłem w służbę. Przestałem słyszeć słowo ludzkie, słyszę tylko język. Przestałem ściskać ręce ludzkie, ściskam tylko maszynki. Przestałem patrzeć w oczy ludzkie, patrzę w szyby sklepów galanteryjnych. Nie ocieram się już o herosów, ocieram się o służbę złotego kołnierza, wysokiej rangi. Nie mówię do wichrów, mówię do szyn, po których się toczą koła burżuazyjno-państwowej kolei. Nie napawam się szumem skrzydeł, brzęczy mi pieniądz. Moje przysięgi — to stempel; moja wiara to ksiądz; moje moty to pierwszy w miesiącu; mój cel to kasa; mój bóg to dyrektor; moje niebo to rada nadzorcza; moje życie to biuro; moje słowa to lojalność... Dotąd nic zrobiłem jeszcze nic takiego, coby mnie shańbiło, ale myślę, że i to przyjdzie, przyjść musi. Czasem samo milczenie jest już hańbą — ja tak często milczę... Tak często dławię się i milczę, tak często duszę się i milczę, tak często wściekam się — i milczę."

Sytuacya jest zrozumiała i jasna, bardzo zrozumiała i przeraźliwie jasna. Dla szczęścia osobistego, dla usłania wygodnego gniazdka przeciętnej dzierlateczce, w marzeniach nawet, z pewną w gruncie rzeczy jej krzywdą, nie branej za orlicę, wyrzeka się ktoś idei, której służył i którą kochał, odwraca się od przyjaciół i towarzyszów młodości, pluje na swoje „ja" dawne i, zatraciwszy w końcu siebie samego, utopiwszy swą odrębność duchową w błocie powszedniości, nie znajduje tego, czego szukał na drodze obranej, staje się trupem za życia, wyciągającym odarte z ciała piszczele do ulatującej mary szczęścia. Popełnił błąd podwójny: nie oparłszy się w czasie właściwym pokusie i nie zapragnąwszy następnie zespolić się silniej duchowo z młodą i piękną, lecz naprawdę nieznaną mu bliżej żoną, i podnieść jej myśli i serca do swych ideałów dawnych. Zrobił to za niego kto inny, a on zrozumiał za późno, że mógł się zabić, jeżeli bez Maryni żyć nie mógł, ale nie powinien był dla niej poświęcać ducha swojego. Bo oto przyszedł człowiek trzeci i odebrał mu ją. I czem! „Oto jest otchłań życiowa. Odbiera mi ją tem, com ja dla niej zabił w sobie, odbiera mi ją śmiercią moją, wzbudza w niej nowe życie przez to, com ja dla niej rozmiażdżył..."

Ludwik odstąpił z lekkiem sercem podartych w boju sztandarów, stał się zwykłym urzędnikiem kolejowym i poświęcił wszystko, „aby tę kobietę módz nazwać *moją* żoną, aby módz wgryźć się w jej usta i wtopić się w jej serce..." „aby módz ją posiąść i być przez nią posiadanym, co jest może jeszcze większą rozkoszą, aby czuć, jak ona mdleje," itd. itd., jak w znanym wierszu Tetmajera „Lubię, kiedy kobieta," gdyż, jak się zdaje, o to mu głównie chodziło. Nie próbował wcale sięgnąć do głębin jej duszy, nie podejrzewał nawet, że są tam jakie głębiny. Aż nagle na ich drodze stanął człowiek inny, kropka w kropkę podobny do Ludwika z tamtej pięknej, nieodżałowanej a zamkniętej na zawsze epoki, ale obdarzony żelazną wolą i niezłomną energią, której jemu brakowało zawsze, a z pewnością i gorętszem od niego ukochaniem idei. Staje się częstym gościem w ich domu i wywiera na jego żonę wpływ magiczny, olśniewa ją urokiem siły, potęgą roztaczanego czaru, otwiera przed oczyma jej duszy widnokręgi nowe. „Pan jesteś Ryszard Lwie Serce" — rzekła do niego w zachwycie, a od tej chwili mąż jej zrozumiał, że sprawa jego przegrana, że dobrowolnie pozbył się broni, która w tej walce jedynie skuteczną być mogła.

Nie możemy zatrzymywać się nad poszczególnemi, wybornie w powieści zaznaczonemi zmianami, które zachodziły w duszy bohatera utworu. Od początkowych uniesień egoizmu, od gotowości zadania śmierci i sobie, i niesplamionej cieniem zdrady żonie i równie, jak ona, czystemu moralnie, a niepodobnemu zgoła do szablonowych kochanków powieściowych „temu trzeciemu" w znanym trójkącie małżeńskim, wznosi on się stopniowo do szczytu altruizmu i, złamany, zdeptany w uczuciach najdroższych, usuwa się całkiem z ich drogi i nawet ułatwia obojgu połączenie się i szczęście wzajemne. Ten ostatni akt nadludzkiego niemal poświęcenia i rezygnacyi godzi nas najzupełniej

z Ludwikiem i jest zarazem w oczach czytelnika aktem zupełnej rehabilitacyi moralnej nieszczęśliwego męża Maryni.

Ale to, czy inne rozwiązanie odwiecznej sprawy, to czy inne zakończenie—nie wyczerpuje, zdaniem naszem, treści utworu i nie było bynajmniej głównym celem, zakreślonym przez autora. Nie próbując odpowiedzieć na pytanie, gdzie cel ten leży naprawdę, podkreślić pragnę tu jeszcze szczegółów parę. A przedewszystkiem wyborną psychologię indywidualizmu w postaci głównego bohatera, w przeciwstawieniu do instynktu gromadzkiego, „uspołecznienia" — Ryszarda. Bo Ludwik w gruncie rzeczy jest indywidualistą skończonym. Z tego tylko punktu widzenia patrzeć możemy na jego przeszłość całą, w której wszystko inne było raczej kaprysem przelotnym, bo czy inaczej mógłby on był „dla jednej kobiety — to jest dla pary ramion, dla pary oczu, dla różowych ust—podeptać to, co nazywał świętem, odrzucić, jak łachman, albo raczej sprzedać, jak Ezaw, prawo swoje za miskę soczewicy?" Sam zresztą charakteryzuje się pod tym względem wybornie, gdy mówi, że był w stanie od kwestyi ekonomicznej skoczyć w jednej sekundzie do kwestyi pocałunku w dłoń albo w rękę, i gdy potem, w rozdrażnieniu i rozgoryczeniu największem, zestawia potrzeby plemion i narodów, warstw i kast z jednostkowym instynktem płciowym i zwraca się do gromady ludzkiej ze słowy bluźnierczemi: „Otóż wiedz, ty czarna maso, ty stugłowy potworze, wiedz ty tłumie, że gdyby was wszystkich razem rozciągano na płonącem żelazie, gdyby wam wszystkim stryczek setki tysięcy gardeł ścisnął, nie dałbym za was jednego włosa Maryni. Słyszycie? Rozumiecie? Precz! Idźcie precz! W otchłań, maso czarna! W otchłań! W otchłań! Razem ze mną, ze mną, ze mną w otchłań!.. O, Chryste! Co jest podłością, co jest życiem, co nie jest śmiercią?!.." Zapewne — słowa te podyktowane zostały przez ból, graniczący z rozpaczą, ale tylko indywidualizm wybujały, uchwycony przez autora na gorącym uczynku, mógł nasunąć podobne uczucia i myśli...

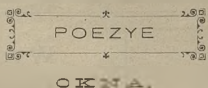
Już to zdolność kreślenia i wywoływania nastrojów i uczuć stanowi bodaj najlepszą stronę utworów powieściowych Tetmajera. „Wszystko, co odchodzi — mówi on np. — odchodzi tak bezlitośnie, tak się kończy. Jeżeli płynę łódką i uderzę wiosłem, to uderzenie to już przeszło, już nie wróci nigdy, już umarło. Życie ludzkie jest ciągłem przemijaniem — nie trwać nie może. Rozpaczliwy, miażdżący jest ten chód czasu, to zimne, miarowe strącanie czegoś w przepaść, w otchłań przeszłości. Całe życie jest jedną otchłanią."

Lecz z różnych uczuć i stanów wewnętrznych, które autor odtwarza, najsilniej chyba, zgodnie z jego, jak się zdaje, wysoce zmysłową naturą, przemawia doń myśl o rozstaniu na zawsze z ukochaną nad wszystko kobietą. Pod wpływem tej myśli, tej dziwnie bolesnej myśli, daje on nam niekiedy w swych nowelach i powieściach prawdziwe perełki liryczne:

„Nigdy już, nigdy nie przyjdziesz ty w cichą noc do mnie, oprzeć mi głowę na ramieniu, dłoń w dłoń wsunąć, ramiona mi owinąć. Nigdy... Nigdy, Maryniu, nigdy... Nigdy już nie będziem tak obok siebie siedzieli, bez słowa, bez ruchu, zlani w jedno... Nigdy... Nigdy już usta nasze mimowiednym i mimowolnym, długim, cichym, przeciągłym, głębokim pocałunkiem się nie połączą, nigdy... Nigdy, Maryniu, nigdy... Czy tobie nie żal, Maryniu? Nigdy już nie nazwę cię moją żoną najdroższą, nie ukoję tem twego wstydu, nie rozpieszczę twej duszy. Nigdy już nie przyjdziesz do mnie, nie usiądziesz mi na kolanach, nie obejmiesz mnie za szyję, aby tak trwać przy sobie godziny całe. Czy tobie nie żal, Maryniu?"

W utworze swoim autor rzuca wiele pytań, potrąca o wiele strun, które drgają, jak struny arfy, wydając, zamiast odpowiedzi, jęk smutny, przeciągły. Poprzez wybuchy liryczne, poprzez protesty i bunty, bijące z wielu kartek „Otchłani," przegląda w niej tu i owdzie ponura rdza sceptycyzmu. Bohater powieści, a z nim poniekąd i sam poeta — ma jakby dwie odpowiedzi na dławiące go, niby gromada zmor, pytania: jedną dla szarego tłumu pospolitaków, drugą dla siebie i dusz wybranych. Zaznacza się to najlepiej w samem zakończeniu utworu, gdzie autor mówi wyraźnie: „Więc gdyby mi dano głos, abym do tłumów mówił, nie powiedziałbym, że życie bywa otchłanią, z której niema wyjścia, ale powiedziałbym: kochajcie ideał miłości, on was wyrwie z każdej otchłani... Ale ja wiem, że jedna jest tylko z niej brama: rezygnacya..." A w odpowiedzi na to możnaby mu zacytować przepiękny wiersz Asnyka: „Nie mów, chociażbyś umierał z pragnienia, że wszystkie źródła wyschły już bijące. Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia, a minął strumień na zielonej łące..."

Władysław Bukowiński.



OKNA.

Mam cztery dziwne okna w moim domu:
Przez jedno patrzę smutnemi oczyma
Na bliskich ludzi rozproszone plemię,
Nad którem Pan Bóg błyskawicę gromu
W surowej dłoni ustawicznie trzyma.
Przez drugie widzę w mgły spowitą ziemię,
Tę dawną gwiazdę zagaszoną w błocie,
Do której żywe istnienia się tulą,
Odkąd się stała z jasnej mroczną kulą,
Płomą błądzącą w błękitnym namiocie.
Przez trzecie śledzę głąb' mojego ducha
I widzę serce dzikie i podarte...
Lecz najdziwniejsze jest to okno czwarte,
Raczej nie okno, lecz framuga głucha,
Którą zamyka jakaś gęsta krata;
I tylko czasem przez szczeliny ciasne
Dochodzą oczu zarysy niejasne
Nieznanych świateł, płynących z zaświata.
Gdy trzech poprzednich zmęczą mnie widoki,
Ucickam w czwarte i źrenicą suchą
Śledzę ciekawie tajemnicze mroki.
I mam przeczucia, któremi się łudzę,
Że śmierć co widnę zatrzaśnie na głucho,
Kratę wysadzi w tej ciemnej framudze.

Gustaw Daniłowski.

W DALI.

Żytomierz. *Wołyń*, dziennik wychodzący w Żytomierzu, podaje w streszczeniu artykuł, zamieszczony w czasopiśmie p. t. *Russkoje Bogatstwo* o zamierzonem wprowadzeniu instytucyi naczelników ziemskich do trzech gubernij południowo - zachodnich. „Przytoczywszy na wstępie motywy, wypowiedziane o konieczności jaknajspieszniejszego wprowadzenia tej reformy do naszego kraju, *Russkoje Bogatstwo* robi uwagę następującą: „Liczba uczastków „mirowych pośredników" mogłaby być powiększona bardzo łatwo, a zbyt mała ich liczba w obecnych warunkach nie przemawia jeszcze za koniecznością wprowadzenia tak zasadniczej reformy. Co się tyczy naczelników ziemskich, niewątpliwie, że obowiązki ich, polegające na połączeniu władzy sądowo-administracyjnej, będą daleko bardziej skomplikowane, niż obowiązki osób, stojących dotychczas na straży interesów ludności włościańskiej, wskutek czego władza naczelników ziemskich będzie mniej dostępną i mniej bliską ludności miejscowej. Prócz tego postanowiono naznaczać na stanowiska naczelników ziemskich wyłącznie tylko osoby pochodzenia rosyjskiego, a ponieważ w kraju Południowo-Zachodnim szlachta rosyjska prawie nie istnieje, więc znaczna większość naczelników ziemskich składać się będzie z ludzi, nieznających miejscowych stosunków i zwyczajów. Biurokracya zaś sama przez się nie może stworzyć kultury rosyjskiej i osłabić wpływu żywiołów antypaństwowych, i naczelnicy ziemscy nie mogą stanowić wyjątku z tego prawidła. Dlatego też odrębność składu osobistego naczelników ziemskich powinna posiadać w tym kraju inne znaczenie. Jeśli przy nominacyi naczelników ziemskich ma rozstrzygać zasada nie stanowa, ale biurokratyczna, to działalność tych urzędników, pozbawionych ściślejszej łączności z ludnością miejscową, winna podlegać daleko więcej, aniżeli w guberniach wewnętrznych, kontroli władz centralnych. Dlatego też nadawanie naczelnikom ziemskim specyalnych pełnomocnictw i praw wydaje się nam nieuzasadnionem. Ale w kraju Południowo-Zachodnim mają być wprowadzone i inne zmiany, gdyż instytucya naczelników ziemskich obejmie także ludność miast i miasteczek. Ludność miejska, więcej niż wiejska, przyzwyczaiła się do podziału władzy na administracyjną i sądową i do braku władzy dyskrecyonalnej. Dlatego też taka reforma odbije się na życiu ludności miejskiej daleko głębiej, aniżeli na życiu wsi, której byt również ulegnie poważnej zmianie."

KRONIKA.

Uwolnieni senatorowie. *Prawit. Wiest.* donosi: „22 czerwca (15 lipca) wydany został Najwyższy Rozkaz Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana o uwolnieniu ze służby senatorów departamentu gospodarczego Cesarskiego Senatu w Finlandyi: Szaumana, bar. Troila i Grippenberga i z sądowego departamentu Klonberga, Niuberga i Sarlakjusa."

Wydawnictwo urzędowe. Z rozporządzenia Głównego Naczelnika kraju J. O. ks. Imeretińskiego, jak donosi *Warsz. Dniew.*, pod redakcyą zarządzającego kancelaryą generał - gubernatora warszawskiego rz. r. st. Mienkina, podjęte zostało wydawnictwo „Zbioru rozporządzeń okólnikowych wszystkich generał - gubernatorów warszawskich w czasie od 1874—1897 r." Obfity materyał, do którego uporządkowania przystąpiono jeszcze w r. 1898, obecnie jest już przejrzany i podzielony na kategorye. Pierwsza część zamierzonego wydawnictwa, zawierająca rozporządzenia, dotyczące powinności wojskowej, straży ziemskiej, praw włościańskich i miejskich, oddana już została do druku. Po wyjściu z druku wspomniany „Zbiór rozporządzeń," z wyjątkiem działu rozporządzeń tajnych, okaże się w handlu księgarskim.

Paszporty dla robotników rolnych. W nr. 69 *Zbioru praw i rozporządzeń* ogłoszono postanowienie o przedłużeniu terminu paszportów bezpłatnych, wydawanych na wyjazd do Niemiec mieszkańcom pogranicznym Królestwa Polskiego, najmującym się do robót rolnych.

Szkoły. Zarząd instytutu politechnicznego warszawskiego rozesłał do dzienników następującą informacyę: „Zgodnie z zatwierdzonym przez p. ministra skarbu spisem średnich zakładów naukowych, których kurs uważany jest za dostateczny do dopuszczenia do egzaminów konkursowych, dających prawo wstąpienia do instytutów politechnicznych, pozostających pod zawiadywaniem ministeryum skarbu, do zakładów tych zaliczono następujące: 1) Gimnazya i szkoły realne z klasą dopełniającą (osoby, które otrzymały świadectwa ze zdania egzaminu z kursu gimnazyum bez języków starożytnych, nie mają prawa wstępowania do wyższych zakładów naukowych specyalnych, pozostających pod zawiadywaniem ministeryum skarbu). 2) Instytut Cesarza Aleksandra II w Niżnym-Nowogrodzie. 3) Klasy gimnazyalne liceum Cesarzewicza Mikołaja. 4) Cesarskie liceum Aleksandryjskie dla osób, które ukończyły tam 6 klas. 5) Klasy gimnazyalne instytutu języków wschodnich Łazarewskiego. 6) Kolegium Pawła Balagana w Ki-

jowie. 7) Instytut sierocy Cesarza Mikołaja I w Gatczynie. 8) Szkoły przy kościołach wyznań obcych w Petersburgu i Moskwie, dla osób, które skończyły kurs wydziałów gimnazyalnego i realnego z klasą dopełniającą. 9) Gimnazya i szkoły realne prywatne z klasą dopełniającą, korzystające z praw instytucyj rządowych i szkół realnych, tudzież te, w których egzamina dojrzałości dokonywane są na zasadzie uwagi I do par. 45 przepisów o egzaminach. 10) Akademia nauk handlowych Moskiewska. 11) Szkoły handlowe ministeryum skarbu i zarządu instytucyi Cesarzowej Maryi, dla osób, które skończyły tam siedem klas. 12) Szkoła księcia Piotra Oldenburskiego, dla osób, które skończyły kurs na oddziale realnym. 13) Szkoła wojskowo - topograficzna. 14) Szkoła inżenierska Mikołajewska. 15) Szkoły wojskowe: Pawłowska i Aleksandryjska. 16) Szkoły artyleryjskie: Michałowska i Konstantynowska. 17) Szkoła kawaleryjska Mikołajewska. 18) Korpus morski. 19) Seminarya duchowne wyznania prawosławnego, dla osób, które ukończyły kurs w I kategoryi, z warunkiem egzaminu dopełniającego z matematyki i fizyki w zakresie kursu gimnazyalnego."

— Zatwierdzono ustawę szkoły muzycznej w Lublinie, zakładanej przez p. Stanisława Sobolewskiego. Na początek otwarte będą we wrześniu klasy fortepianu, organów, skrzypiec i śpiewu solowego.

— Klasy wstępne przy szkołach realnych będą mogły posiadać oddziały równoległe.

— Mieszkańcy Lublina wnieśli do p. kuratora okręgu naukowego prośbę o założenie w tem mieście szkoły realnej.

Wychowanie. W Wilnie zawiązał się komitet, w celu zorganizowania towarzystwa opieki nad rozwojem fizycznym młodzieży.

— Z rozporządzenia zwierzchności szkolnej w Radomiu zamknięto wszystkie stancye prywatne dla uczniów gimnazyum. Odtąd nie mający w mieście rodziców lub blizkich krewnych mieszkać mają w internacie; opłata roczna tamże wynosi rb. 220.

Ruch kobiecy. Gimnazyum żeńskie prywatne w Krakowie po raz pierwszy w tym roku wypuściło w świat maturzystki. Gimnazyum to, a raczej szkoła gimnazyalna żeńska, założone zostało przed czterema laty staraniem profesorów uniwersytetu: O. Bujwida i N. Cybulskiego, oraz radcy Br. Trzaskowskiego. Szkoła ma na celu przygotowanie dziewcząt do zdania matury w gimnazyach męzkich rządowych. Nauka trwa 5 lat. Pierwsze kandydatki zdawały w początkach czerwca egzamin dojrzałości przed komisyą w gimnazyum św. Anny. Przy egzaminach obecnym był inspektor gimnazyów Galicyi Zachodniej, dr. L. German. Ponieważ egzamina wypadły w czasie uroczystości jubileuszowych uniwersytetu Jagiellońskiego, przybył na nie i wiceprezydent Rady szkolnej, p. Michał Bobrzyński, oraz minister oświaty p. Hartel. Rezultaty egzaminu wypadły na ogół świetnie. Większość maturzystek skieruje dalszą swą pracę do studyów uniwersyteckich, gdzie im jednakże prawa ze studentami przysługiwać będą. Dotychczas we wszystkich uniwersytetach austryackich, a więc i w Galicyi, dostępny jest dla kobiet jedynie wydział filozoficzny; ogólnie jednak głoszą, że lada chwila otworzą dla nich fakultety: prawny i medyczny. Opłata wynosi 200 koron (100 guldenów) rocznie.

Uniwersytety. Z Heidelberga piszą nam: Ogólne zaciekawienie budzą tutaj zapowiedziane na semestr zimowy wykłady prof. Jellinek'a: „Polityka państwa współczesnego," Rathgen'a — „Wielki przemysł i kwestya robotnicza" oraz Hettner'a — „Geografia obrotu wszechświatowego."

Wystawy i zjazdy. Wśród rzemieślników powstał projekt zwołania w jesieni r. b. zjazdu przedstawicieli cechów rzemieślniczych w Królestwie Polskiem, celem rozważenia zmian, które poczynić należy w ustawie z r. 1816. Zjazd ma się odbyć w Łodzi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Іюля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.